NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 14 września 1907. Nr. 37.

Pogrom w Odessie.

(Treść na str. 2).



Treść numeru: Straszna katastrofa kolejowa.—Jubileusz księcia Bułgarskiego.—Walki pod Casablanką.—Amerykańscy turyści.—Atleci w Krakowie.—Egzotyczni dyplomaci w Berlinie. — Zmiana w dyrekcyi poczt. — Ku „ziemi obiecanej“. — **Wóz Drzymały.** — Nowy kapelmistrz wiedeńskiej opery. — Międzynarodowe wyścigi kolarzy we Lwowie. — Skon genialnego muzyka itd. itd.

Pogrom w Odessie.

(Do illustracyi tytułowej.)

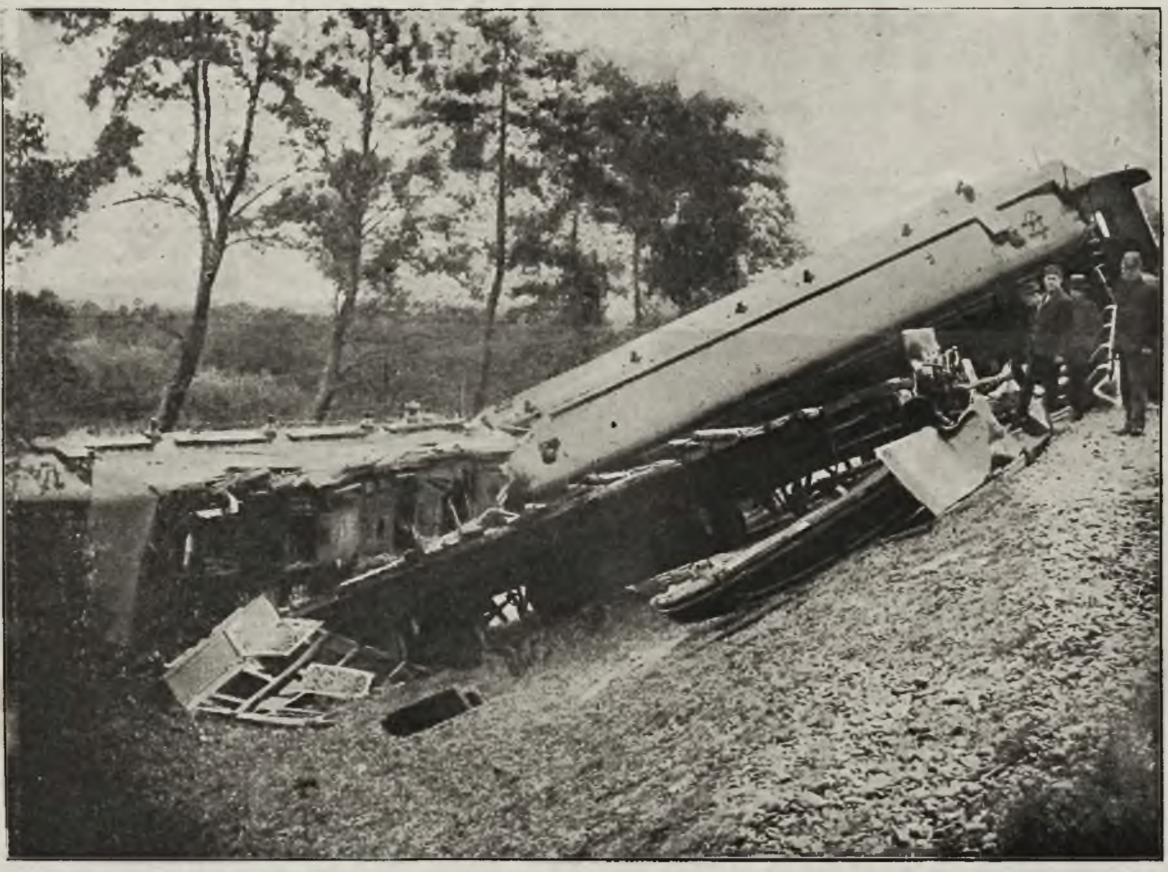
Odżyło wspomnienie krwawych, strasznych dni Kiszyniewa, Siedlec, Białego-Stoku, odżyło wspomnienie pierwszego pogromu w Odessie. Polała się znowu obficie krew niewinnie mordowanych ofiar, zniszczono znowu w barbarzyński sposób dobytek biedaków. Miejscem, w którem się rozegrały ostatnie krwawe wypadki, była Odessa, nie po raz pierwszy nawiedzona taką klęską.

Przyczyna, która wywołała pogrom odeski w pierwszych dniach września, była dość błaha. Oto w czasie jakiejś rewizyi eksplodowała przypadkiem bomba, znaleziona w podejrzanym domu, a wybuch jej zabił oficera i trzech policyantów. Z tego powodu postanowił „związek ludzi prawdziwie rosyjskich“ pomścić się na żydach, zamieszkujących Odessę i zainicyował straszliwy pogrom, którego ofiarą padło kilku zabitych a około 100 rannych.

Pogrom trwał przez trzy dni z rzędu, a choć był zapowiadany poprzednio, choć go przeczuwano, mimo to wywołał w całem mieście szaloną panikę. Celem ułatwienia zamierzonego dzieła, usunięto naprzód policmajstra, który niejednokrotnie oświadczał, że do pogromu nie dopuści. Nowy policmajmajster okazał się łagodniejszym dla „prawdziwych Rosyan“, i wówczas rozpoczęto krwawe zamieszki. Strzelano wprost do przechodniów, bito ich i kułakowano, przeważnie w dzielnicy Mołdawianka, gdzie znajduje się szpital żydowski. Po ulicach krążyły całe oddziały „czarnych secin“ i działały w biały dzień, całkiem jawnie; rzucano się nie tylko na żydów, ale i na przedstawicieli inteligencyi, na studentów, gimnazyalistów, bito ich niemiłosiernie laskami gumowemi, kłuto nożami. Dzielnica Mołdawianka przedstawiała istne pobojowisko. Ponadto burzono i łupiono magazyny, niszczono bezmyślnie wszystko, co wpadło w ręce zajadłych prześladowców.

Rezultat krwawego pogromu straszny. Szpitale przepełnione rannymi, mnóstwo pokaleczonych dzieci, kobiet, starców. Ruch handlowy ustał prawie zupełnie, sklepy i magazyny pozamykane, giełdy zbożowe i pieniężne nie funkcyonują. Policya jest bezradna wobec „czarnych secin“ i przez pierwsze dni nie próbowała nawet im przeszkadzać. Dopiero gdy dzieło zniszczenia było prawie ukończone, wysłano na miasto kozaków, by przywrócili spokój.

I spokój ten powoli wraca na ulice Odessy. Ruch się wzmaga, przemysł i handel ożywiają się napowrót. Ale wspomnienie krwawych dni wrześniowych na długi czas pozostanie w pamięci mieszkańców nieszczęsnego miasta.



Fot. Ł. Szpak, Halicz.

Straszna katastrofa kolejowa: Wagon w którym jechali zabici: student Zaczek i Waschitz. Obok stojących kolejarzy, leżą zwłoki ś. p. Zaczka.

Straszna katastrofa kolejowa.

Znów przychodzi nam zanotować katastrofę kolejową, katastrofę straszną, rozmiarami olbrzymią, która grozą swą przyćmiewa nawet to wszystko, co się w ostatnich latach na kolejach galicyjskich zdarzyło. Mamy znowu trupy, szereg jednostek ciężko rannych i w następstwie pozbawionych możności pracy, mamy łzy ludzkie i złorzeczenia. A wszystko to jest owocem, jest plonem skandalicznych porządków, panujących na kolejach galicyjskich.

Ostatnia ta katastrofa wydarzyła się w środę 4 b. m. wieczór około 8, pomiędzy stacyami Bukaczowce a Żurawno-Nowosielce. Mianowicie pociąg osobowy, wychodzący ze Stanisławowa o godzinie 5.24 popołudniu, złożony z dwu maszyn, dwu wozów pakunkowych, pocztowego wozu ambulansowego i dziesięciu osobowych, wykoleił się tam z niewiadomej na razie przyczyny. Następstwa były okropne. Pociąg przerwany został w czteru miejscach, a wagony rozrzucone po torze i z obu stron nasypu. Lokomotywy i wozy służbowe nie uległy widocznemu uszkodzeniu, mimo że te ostatnie wraz z jaszczykiem drugiej maszyny wykoleiły się. Wielki wóz pocztowy, w którym znajdował się personal pocztowy, zjechał całą swoją długością ze szyn i stanął równolegle z torem na prawej stronie, o jakie 2 metry od szyn Wóz pochylił się i tak wryty w ziemię stanął. Pierwsze dwa wozy osobowe zjechały na lewą stronę toru. Jeden pochylony na torze, drugi legł na nasypie dachem w dół. Trzeci wóz uległ zupełnemu zniszczeniu. Koła jego wraz z podłogą wagonu legły po prawej stronie w poprzek nasypu, a pudło tego wozu rozbite na kawałki. Wóz ten natłoczony był podróżnymi, podobnie jak cały pociąg, którym jechało przeszło 500 osób. Z jaką siłą wóz ten został rozbity, świadczy to, że dach padł zewnętrzną stroną na nasyp, równolegle z wozem. Nieco dalej,



Fot. M. Münz, Lwów.

Straszna katastrofa kolejowa: Strzaskany wagon osobowy I. i II. klasy, w którym jechał znany powieściopisarz p. Jeske-Choiński z rodziną.

w oddaleniu około 15 metrów od toru, stanął wóz I. i II. klasy. Cały spód tego wozu ugrzązł w moczarze, pudło zaś wozu utrzymało się na wierzchu. Wewnątrz uszkodzone drzwi, okna i siedzenia. Dalszy wóz legł bokiem na nasypie, trzy następne



Fot. Ł. Szpak, Halicz
Straszna katastrofa kolejowa: Pogruchotane wozy po lewej stronie toru.

wykolejone, sparły się na sobie i tworząc linię zygzakowatą pochyliły się na prawo. Ostatnie tylko dwa wozy tego nieszczęsnego pociągu zostały na szynach zupełnie nieuszkodzone.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie straszne zamieszanie, jaki chaos powstał w rozbitym pociągu w chwili katastrofy. Noc już zapadała, na dworze więc było zupełnie ciemno, ciemno tem bardziej, iż niebo było pokryte gęstemi chmurami, z których deszcz padał nieustannie. Pociąg, spóźniony około pół godziny, posuwał się ze wzmożoną szybkością, co uderzyło podróżnych. Nagle uczuli oni, że pociąg uległ silnemu wstrząśnieniu i biegł dalej już nie po szynach, lecz po progach. Równocześnie na głowy jadących posypał się grad pakunków z półek, rozległ się straszliwy trzask walących się wagonów, połą-



Fot. Ł. Szpak, Halicz.
Straszna katastrofa kolejowa: Zwłoki kupca z Brodów Waschitza, ofiary katastrofy pod Bukaczowcami.

czony z brzękiem szyb tłuczonych. W tej chwili pociąg jakby runął w przepaść i wagony stanęły w miejscu. Przytomniejsi i ci, którzy nie odnieśli zbyt ciężkich obrażeń, wyskoczyli czemprędzej z wagonów, a oczom ich przedstawił się obraz pełen grozy. Na tle ciemnego nieba zarysowały się sylwetki spiętrzonych wozów służbowych i gruzy wozów osobowych, leżących to wzdłuż, to wpoprzek toru, pogruchotanych jakby jakąś niewidzialną, a przecież olbrzymią siłą.

Z pod gruzów tych wydobywały się jęki rannych, których liczba była wyjątkowo duża. Rozgrywały się tam też sceny straszne, wstrząsające. Część tych, którzy szczęśliwym trafem wyszli cało, albo prawie cało z katastrofy, zaczęli wśród wrzasku uciekać w pola, jakby oszaleli z przerażenia. Każdy z nich myślał początkowo tylko o sobie i ratował się jak mógł. Jakaś matka, widząc swą córkę przygniecioną drzwiami wagonu, porwała ją za włosy i tak wlokła kilka kroków, zupełnie bez potrzeby. Część tylko pasażerów, przytomniejsi i inteligentniejsi oraz służba, rzucili się spiesznie z pomocą tym, którzy znajdowali się w najstraszniej dotkniętych wagonach i którzy odnieśli najcięższe obrażenia.

A była ich liczba bardzo poważna, bo wagon ten, który się rozbił zupełnie, był przepełniony jadącymi. Tam też dwie osoby śmierć znalazły, kupiec z Brodów Waschitz i uczeń III. kl. gimnazyalnej Antoni Zaczek.

Śmierć tych dwu ludzi jest najstraszniejszem następstwem katastrofy pod Bukaczowcami. Stąd też dopuszczenie do niej, zaniedbanie należytych środków bezpieczeństwa, którego winną jest stanisławowska dyrekcya kolejowa, musi jej być poczytane za lekceważenie życia ludzkiego, za swawolne narażanie go na szwank, za zbrodnię karygodną. Bo choć co do ostatecznej przyczyny strasznej katastrofy krążą najrozmaitsze pogłoski, choć nawet są usiłowania zrzucenia winy na „zbrodniczą rękę“, to jednak brak tym wszystkim pogłoskom podstawy i odpowiadać musi zarząd kolei, odpowiadać musi system, od szeregu lat na kolejach galicyjskich uprawiany, ten system, którego wynikiem jest długi łańcuch strasznych wypadków, od Kosaczówki pod Kołomyją zaczynając, a na Bukaczowcach kończąc. Skargi na administracyę kolejową nie milkną i każdy, kto miał sposobność zetknąć się bezpośrednio z naszemi kolejami, musi po pewnym czasie zawołać: „Dość już tego!“ Dość tego lekceważenia nietylko wygód — bo o nich podróżni na kolejach galicyjskich ani marzyć nie



Straszna katastrofa kolejowa: Ofiara katastrofy pod Bukaczowcami, ś. p. Antoni Zaczek, uczeń gimnazyalny.

mogą i z góry z nich rezygnują — ale dość tego igrania z życiem i zdrowiem ludzkiem, którego administracya kolejowa nikomu zwrócić nie jest zdolna.

Nowy kapelmistrz wiedeńskiej opery.

Długoletni kapelmistrz opery we Wiedniu, Gustaw Mahler, ustąpił ze swego stanowiska, a jego następcą został znakomity muzyk niemiecki, ceniony kompozytor i jeden z najwybitniejszych kapelmistrzów, Feliks Weingartner.

Nowy kapelmistrz wiedeńskiej opery jest człowiekiem jeszcze młodym, urodził się bowiem w r. 1863. Pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny austryackiej von Münzbergów. Po ukończeniu szkół średnich w Gracu, udał się do Lipska na studya filozoficzne, nie znajdując w nich jednak upodobania przeniósł się do konserwatoryum i poświęcił wyłącznie muzyce. Z kolei przeniósł się młody muzyk do Weimaru i tam kształcił się dalej pod kierunkiem Liszta, który bardzo serdecznie zajął się utalentowanym kompozytorem. Po uzupełnieniu studyów, których pierwszym owocem była opera „Sakuntala“, objął stanowisko kapelmistrza opery w Królewcu, a następnie w Gdańsku, poczem wspólnie z Sucherem pracował w Hamburgu. Stamtąd powołany został do Monachium, a wnet potem do Berlina na stanowisko dyrygenta symfonicznych koncertów dworskiej orkiestry. Było to stanowisko, gdzie talent jego wybitny mógł rozwinąć się i zabłysnąć w całej pełni.

Nie porzucając swego stanowiska w Berlinie,



Fot. Ł. Szpak, Halicz.
Straszna katastrofa kolejowa: Sytuacya po prawej stronie toru.

pracował Weingartner także jako kapelmistrz słynnych koncertów Kaima i odbył w tym charakterze szereg podróży artystycznych, nawet do Ameryki. W r. 1905 oddał się wyłącznie pracy w orkiestrze królewskiej w Berlinie, a przytem pracy kompozytorskiej i literackiej. Obecnie został powołany na stanowisko naczelnego kapelmistrza opery we Wiedniu.

Feliks Weigartner w swej dotychczasowej karyerze artystycznej zdobył już sławę niepoślednią i imię znane w całym świecie muzycznym. I to w dwu kierunkach. Jako kapelmistrz i jako kompozytor. W pierwszym kierunku cechuje jego działalność nieporównane odczucie i zrozumienie ducha i myśli utworów, najzupełniejsze opanowanie najtrudniejszych nawet materyi muzycznych i nieskazitelne pod względem techniki wykonanie. Jako kompozytor jest Weingartner epigonem trzech wielkich mistrzów nowoczesnych, Berlioza, Liszta i Wagnera i jednym z najwybitniejszych przedstawicieli muzyki modernistycznej.

Powołanie go do Wiednia zwróciło nań znowu uwagę sfer interesujących się rozwojem muzyki, powszechne jest też zdanie, iż Weingartner był najodpowiedniejszym na to stanowisko kandydatem.



Fot. Ł. Szpak, Halicz.

Straszna katastrofa kolejowa: Ambulansowy wóz pocztowy, w którym znajdowały się 2 miliony frcs, wysłane z Rumunii do Wiednia

Skon genialnego muzyka.

W dalekiej, północnej krainie, w krainie fiordów i lodów, zamknął na wieki oczy genialny muzyk norweski, Edward Grieg. Żadne imię z pośród muzyków norweskich nie jest tak znane, żadnego pieśń nie rozpowszechniła się tak bardzo wśród ludu Norwegii, jak Edwarda Griega. Ale więcej jeszcze! Jego imię znane jest i otoczone sławą na całym świecie, wszędzie tam, gdzie kultura artystyczna rozwinęła się choćby średnio.

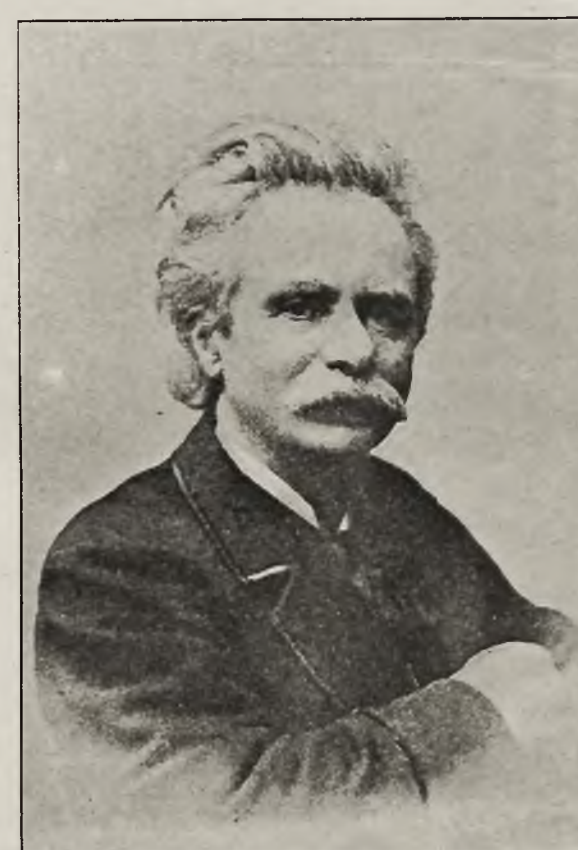
Zmarły przed kilku dniami kompozytor Edward Hagerup Grieg ujrzał światło dzienne 1843 roku w Bergen. W muzyce kształcił się w konserwatoryum lipskiem, następnie w Kopenhadze u Gadego, uzupełniał zaś wykształcenie we Włoszech. Już swemi pierwszemi kompozycyami, sonatami skrzypcowemi, zwrócił na się powszechną uwagę. W tych utworach Griega odezwały się głośno norweskie motywy ludowe, z której to skarbnicy znakomity kompozytor czerpał zawsze wiele. Dalsze kompozycye, utwory kameralne, koncerty fortepianowe, sonaty na wiolonczelę, wiele pieśni, trzy słynne suity orkiestralne, z tych dwie skomponowane jako illustracya muzyczna do „Peer Gynta“ Ibsena itd. ugruntowały i utrwaliły sławę Griega.

Edward Grieg uderzył w strunę narodową i stał się centrum muzyki norweskiej. Niemal wszystko, co jest charakterystycznego w życiu ludu i w naturze, drga zbiorowo w tym jednym tonie narodowym. A siłę, z której wyrósł i którą żył jako artysta wybitnie narodowy, czerpał Grieg z norweskiej muzyki ludowej, z melodyi, tkwiących setki lat w duszy ludu.

Znaczenie wielkiego tego muzyka dla sztuki i ogólnej kultury w Norwegii jest wielkie i rozległe. Na zewnątrz wraz ze Svendsenem i Sindingem wyrobił muzyce ojczystej miejsce obok muzyki innych oświeconych ludów. Wewnątrz dał samodzielność życiu muzykalnemu i pewność, nauczywszy Norwegów myśleć swobodnie a górnie. Ideą jego było obok nowego rozbudzenia narodu podnieść tradycyę sztuki. Rozbudził muzykalne życie i zrozumienie w dwu centrach oświaty w ojczyźnie swej tj. w Chrystyanii i w Bergen. Założył w Chrystyanii towarzystwo muzyczne, największą instytucyę muzyczną w kraju. Stworzył pełną głębokich myśli literaturę muzyczną, w której znajdą się zapewne wskazówki dla dalszego rozwoju norweskiej kultury.

Grieg ma dla muzyki norweskiej to samo mniej więcej znaczenie, co Chopin dla muzyki polskiej. Jego utwory, wszystkie głębokie, pełne myśli i polotu poetyckiego, przemawiają swą siłą i swym wyrazem do duszy słuchacza i upajają go potęgą i czarem.

Utwory wielkiego kompozytora północy, zdobyły w ostatnich latach ogromną popularność w całym świecie. Dziś niema poważnego koncertu, na którymby utworów jego nie wykonywano. A jest Grieg nietylko popularny, ale i powszechnie ceniony i lubiany.



Skon genialnego muzyka: Edward Grieg, znakomity kompozytor norweski.

To też wieść o jego śmierci, wieść iż lutnia jego na wieki zamilkła, wywarła u wszystkich tych, którzy szczerze i prawdziwie muzykę kochają, serdeczny i głęboki żal.

Powyżej zamieszczamy portret zmarłego muzyka.



Straszna katastrofa kolejowa: Komisya sądowo-kolejowa z gen. inspektorem kolei Pascherem, na miejscu katastrofy.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

36 Ciąg dalszy.

— To bieda, że aż trzech trzeba uwolnić — narzekał Kola — z jednym może, może i udałoby się...

— Nie trzech, lecz czterech — szepnął Bal zamyślony.

— Któż czwarty?

— Gwalberski — odpowiedziała Logika — i jak sądzicie Balu?

Nic nie wiem... będę próbował.

XV.

Bal z ulicy Zakroczymskiej przypatrywał się z wielką uwagą ponuremu fortowi Aleksiejewa, którego czerwone mury wznosiły się posępnie na usypanem wzgórzu i patrzały groźnie wylotami armatnimi na ruchliwe i gwarne miasto.

Obszedł fort do około i wszędzie dojrzał tylko mury, załamujące się w regularnych odstępach, aby w razie potrzeby razić miasto ogniem krzyżowym.

Drogą, wiodącą do głównej i jedynej bramy, szybko kroczyli żołnierze, cwałowali kozacy, zwolna jechali żandarmi na ciężkich koniach lub przemykały się szybko rosyjskie perelotki.

Od czasu do czasu opadały Bala wątpliwości i zniechęcenie, lecz otrząsał się z tych przygnębiających myśli i miał już wracać do miasta, gdy dojrzał, że przy bramie w budce przydrożnej ku fortowi przystawali często żołnierze, czyniąc zakupy.

Podszedł bliżej do budki. Na otwartej budzie leżały bułki, owoce, pierniki, a wewnątrz na półkach papierosy, śledzie w słojach, sery i t. p. rzeczy.

Zbliżył się do przekupki, wybrał kilka gruszek, zażądał papierosów i wdał się w rozmowę z gadatliwą kobietą.

— Widzę, że interes pani dobrze idzie, towar dobry i zapewne miejsce dobre.

— Dawniej to człowiek nie miał co do ust włożyć... ale teraz fort pełny więźniów, żołnierze usłużni... to i chwała Bogu jakoś lepiej. Póki rozgardyasz taki w mieście, to handel idzie.

— I dużo więźniów?

— Ho, ho, a ktoby ich zliczył... ciągle prowadzą to do fortu, to z fortu... lecz w tej chwili obejrzała się trwożliwie i dodała tonem surowym: — czegóż pan chce?

— Mam, widzi pani, interes do pani, jako znanej z uczciwości i dobroci — przemówił Bal słodkim głosem — tam, we forcie siedzi mój młodszy brat, dzieciak, piętnasty rok...

— Wiem ci panie, wiem — westchnęła — toż na własne oczy widziałam, jak prowadzili wyrostków. Powiedziałam też raz starszemu z wojska, czy wam nie wstyd dzieci więzić?

— Prawda pani — przerwał jej Bal — otóż chciałbym memu braciszkowi małemu zapewnić życzliwą opiekę dozorcy, i czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mogę spotkać dozorców? Przecież całymi dniami nie siedzą we forcie, wychodzą na miasto.

— Eh panie — wzruszyła pogardliwie ramionami — co takiemu chłopu trzeba? Mają szynk we forcie, wypije wódki, zagryzie byle czem i kontent.

— I wcale nie wychodzą z fortu?

— Hm... cóż pan tak gorąco kąpany... muszę się namyśleć. A pan sam skąd?

— Ze wsi, z pod Piotrkowa i nie mam nikogo tu znajomego.

— No, na sierotę pan nie wygląda — zaśmiała się — porządnie pan ubrany, a ja znam się na tem, bom Warszawianka. A jak braciszkowi na imię?

— Kazio.

— O! to tak jak memu synkowi — zdziwiła się — tylko mój starszy, będzie miał dwadzieścia dwa... a może trzy... zaraz.. nie, dobrze mówiłam dwadzieścia dwa i jest czeladnikiem. A może pan zna Uherskiego fabrykę mebli?

— Nie, nie znam.

— To mnie dziwi, taka wielka fabryka, sześćdziesięciu ludzi zajmuje. I syn mój dobrze zarabia.

— To pani szczęśliwa — uśmiechnął się Bal — otóż gdzie ci dozorcy chodzą?

Jeden z przechodzących żołnierzy zażądał papierosów i począł się targować o cenę jabłek, a gdy odszedł zaczęła przekupka:

— Ot widzi pan, jakie to moje życie — westchnęła — muszę się kłócić z takim chłopem o grosz... a czy ja kradnę te jabłka? Ale każdy, aby tylko taniej..

— Tak, tak, ciężki to kawałek chleba... i nie chcę już pani czasu zabierać — skłonił się kapeluszem — może innym razem przyjdę.

— Zaczekajże pan — zawołała — ja nie taka nieużyta. Żal mi tego Kazia, a z pana dobry brat, o dobry! i tak powinno być... Wieczorem, uważa pan, to ci z dozorców, którzy nie mają służby, wychodzą z fortu.

— Do miasta.

— Ale, co takiemu chłopu miasto?! Idą do szynku... Na rogu Wójtowskiej jest restauracya, tam siadają. Tylko ostrożnie, bo to wydrwigrosze i zaraz donoszą... no, a jak się do nich dostać, można posiwieć, a człowiek nie dowie się, za co siedział pod kluczem.

— Dziękuję pani — podał rękę do uścisku, ale ona rada rozmowie nie tak prędko wypuściła go i musiał wysłuchać historyę o nieboszczyku mężu...

Dotychczasowe stosunki Bala z fortem Aleksiejewa ograniczały się na znajomości jednego z pisarzy wojskowych, który dostarczał aresztowanym towarzyszom wiadomości, tytoniu, lepszej strawy i podobnych ulg. Był to jednak człowiek niepewny, z oczami chytremi...

Bal postanowił porozumieć się z uwięzionymi przez dozorcę jakiego i wspólnie obmyśleć plan ucieczki.

Na wszelki wypadek wziął ze sobą towarzysza Młota, wysłużonego żołnierza, sam przebrał się w podniszczone ubranie i wieczorem obydwaj poszli do wskazanego szynku.

Za skromnym bufetem zastali małżeństwo. Ona nalewała wódki i pilnowała przekąsek, a mąż szynkował piwo, roznoszone przez dwie niemłode służące.

Właścicielka z dość surowym wyrazem twarzy, nalała dwa kieliszki, podsunęła przekąski, a gdy Bal i Młot chcieli iść w głąb pokoju zawołała:

— Hej, panowie! Za wódkę i przekąski płaci się zaraz... taki u mnie zwyczaj.

— Bardzo dobry zwyczaj — uśmiechnął się Bal — bo niema pomyłek i rachunki są w porządku.

— W tem rzecz — odpowiedziała, biorąc należność — ja w interesie chcę mieć spokój.

— Bardzo lubię porządek — mówił Bal, rozglądając się po izbie — zaraz widać pracowitą i zapobiegliwą właścicielkę.

Wprawdzie izba była brudna, lampy paliły się mdło, ale tyle szczerości było w tonie Bala, że gospodyni rozchmurzyła się i spytała uprzejmie:

— Może panowie usiądą... może piwa... i mam wyborny schab.

— Dwa razy schabu — odezwał się Młot — jeśli będzie tak dobry jak wódka, sprowadzę tu kolegów.

— Dodam kartofelków i kapusty, dobrze?

— Zostawiamy to uznaniu pani — skłonił się Bal bardzo uprzejmie.

Ten ukłon zjednał im łaskę gospodyni, wskazała im drugi pokój, do którego mają wstęp tylko porządni goście i usługującej Julce kazała dopilnować gości.

W bocznym, niewielkim pokoju, oświetlonym wiszącą lampą, były dwa stoły, mniejszy pod oknem, a większy z kanapką ceratową pod ścianą.

Zaledwie zaczęli pić piwo, gdy do pokoju weszli dwaj dozorcy więźniów, znaczni po mundurach, rzucili okiem obojętnem na siedzących i prowadzili dalej głośną rozmowę w języku rosyjskim o swych stosunkach służbowych.

Służąca znała widać tych gości, bo bez zażądania przyniosła butelkę „czystej“, dwa kieliszki i dwa ogórki kwaszone.

— Będziemy mówili po rosyjsku — szepnął Bal towarzyszowi

W chwili, gdy przycichła rozmowa dozorców, odezwał się Bal głośno:

— Tak, tak, druhu, marne tu życie, nie takie jak u nas — westchnął.

Rosyjski język w ustach cywilnych ludzi, w Warszawie, wydał się dozorcom tak niezwykłym, że obaj zwrócili oczy na Bala, a jeden z nich suchy, szpakowaty brunet zawołał:

— A wy skąd, bracia?

— Ja ze Saratowa, a mój towarzysz z Tuły... ale już dawno w Polsce, to i tęskno nam.

— Ot prawdę powiedział — westchnął drugi dozorca, chmurny, z miną zgorzkniałą — wiek cały przetęsknisz, a swoich nie zobaczysz... przeklęta służba.

— Aby dobra wola — uśmiechnął się Młot — zawsze wrócić można. Byłem w Kaukazie, byłem w Permie, w Orenburgu, a jednak wróciłem.

— A wy co robili?

— Służyłem w wojsku... a teraz na kolei rządowej. Myślę jednak wrócić do swoich, sprzykrzyło się.

— Toż my swojacy! — uśmiechnął się pierwszy dozorca — my obaj z Tambowskiej gubernii... siadajcie przy nas, będzie nam weselej w kupie.

Przesiedli się chętnie, a Bal kazał dać świeżą butelkę wódki, i wśród rozmowy spytał w stosownej chwili:

— Dlaczegoż nie pojedziecie wy w swoje strony? Urlop dadzą, kolej nie jest droga, a tak miło odetchnąć.

— Urlop dadzą na tydzień, że ledwie na samą podróż starczy, a jak się ma żonę i dzieci, to zważ każdą kopiejkę, zanim wydasz.

— A pamiętasz Fiodora Konstantynowicza — zaczął dozorca chmurny — temu się także zachciało wrócić do Samary. Pojechał, śmierć złapała go w Smoleńsku... i Bóg jeden wie, co się stało z jego żoną i dziećmi.

— A o którym Fiodorze Konstantynowiczu mówicie? — spytał Bal.

— O Szulginie... pojechał on z dziesięć lat temu do Samary. Umarł, graty sprzedano i na taki koniec mu przyszło.

Bal spojrzał uważnie na jednego, na drugiego i rzekł niepewnym głosem:

— To wy chyba z fortu Aleksiejewa, kiedy znaliście Fiodora Konstantynowicza.

— A my z fortu... a wy znaliście go?

— Jakże nie... toż mój rodzony ojciec.

— Ojciec!? — zawołali zdziwieni, oglądając go bacznie i po chwili:

— To wy chyba Kola?

— A tak... Konstanty Fiodorowicz Szulgin.

— A co się dzieje z Waśką? — spytał dozorca — bo był słabowity, a co z najmłodszą Maryjką.

— Tak i jest... Waśko teraz w intendanturze, a Maryjka w domu u mamy.

— Nu Wasylu Piotrowiczu — rzekł dozorca do swego kolegi — ot szczęście spotkać syna Fiodora Konstantynowicza... warto zapić sprawę.

— To i pijmy — zawołał Bal wesoło — bo aż mi się serce raduje, żem odnalazł swoich.

— Toż ucieszy się wasz chrzestny ojciec Piotr Antonowicz, jak się dowie, że żyjecie.

— Żyje jeszcze stary?

— On przeżyje nas wszystkich, toż on najstarszy ze wszystkich dozorców, a trzyma się krzepko.

— Tego radbym zobaczyć — mówił uradowany Bal — a nie przyjdzie on tutaj?

— Dzisiaj ma służbę, ale jutro będzie tu wieczorem.

— Przyjdę tu, a teraz pijmy...

Uraczył suto obu dozorców i upewniwszy się jeszcze raz, że Piotr Antonowicz przyjdzie, wyszedł ze szynku wraz z Młotem.

Gdy znaleźli się na ulicy rzekł Młot ze szczerem uznaniem:

— Ależ wy, towarzyszu, sprytni... zaprzyjaźniliście się z miejsca z dozorcami... u was jest rozum.

— Potrzeba jest matką wynalazku — zaśmiał się Bal — dziękuję wam, towarzyszu, za waszą pomoc i jutro pójdę sam uściskać swego chrzestnego ojca.

Wieczorem, jak dnia poprzedniego, przyszedł Bal do małej restauracyi, a przywitawszy się z gospodynią wszedł do pobocznego pokoju.

Przy większym stole siedziało dwóch dozorców, jeden z nich znajomy wczorajszy, Wasyl Piotrowicz, a drugi na kanapce człowiek około pięćdziesięciu lat, ze szpakowatą brodą i małemi niebieskiemi oczami.

Bal przywitał się z Wasylem Piotrowiczem, który śmiejąc się głośno mówił do swego kolegi:

— Nu, Piotrze Antonowiczu, nie poznajecie tego? — wskazał na Bala.

Wezwany przypatrywał mu się uważnie i rzekł:

— Gdzieś znałem taką twarz, ale przesunęło się tylu, że nie mogę rozeznać.

— Toż wasz chrzestniak Szulgin.

Dozorca poruszył się niespokojnie, spojrzał niedowierzająco na Bala, na kolegę i bąknął:

— Czy to możliwe?

Bal natomiast z wielką radością podsunął się do dozorcy, pokornie ucałował go w ramię i rzekł:

— Toż ja Kość... a wy ojcze nie poznajecie mnie?

Ten pocałunek rozstrzygnął sprawę, Piotr Antonowicz ucałował czoło chrzestniaka, przypatrzył mu się bliżej i rzekł:

— Nu, zmieniłeś się bardzo... ale nic dziwnego, tyle lat... a pamiętasz, Kościu, co ci dałem na drogę?

— Oj, wspominałem często te słodycze, bo później gorzko mi było.

— Tak, tak, — rozczulał się Piotr Antonowicz — a podzieliłeś się z Waśką i Maryjką, jak ci kazałem.

— Sami się dopominali, to i dałem... a teraz napijmy się za wasze zdrowie i na miłe spotkanie.

Przyniesiono wódkę, kieliszki gęsto krążyły, a Bal musiał szczegółowo opowiedzieć o śmierci Szulgina, o matce, o karyerze Waśki i o swem życiu.

Już poprzednio obmyślił szczegóły powieści o rodzinie Szulgina, opowiadał więc zajmująco i wreszcie przyznał się ojcu chrzestnemu, że jedzie do Samary w tych dniach, bo matka ciężko chora.

Wasyl Piotrowicz, spojrzał na zegarek, szybko wstał z krzesła i zawołał:

— Już czas na nas, za pięć minut zamykają fort... Chodźcie Piotrze Antonowiczu.

— No, nie spieszno mi, ot spotkał syna chrzestnego, jakże mi go opuścić?

— Kochankę opuściłbym — mówił stanowczo Wasyl Piotrowicz, idąc ku drzwiom — to przecież służba.

— Idź... idź... już mnie puści warta.

Gdy zostali sami, Bal słuchając opowiadania Piotra Antonowicza o swym ojcu, rozmyślał, w jaki sposób namówić dozorcę, aby tych czteru więźniów wypuścił z fortu, czy uda mu się przekupić go, czy też rozczulić wspomnieniami. Wpierw postanowił jednak wybadać jego zapatrywania na więźniów i na swe obowiązki. Upatrzywszy chwilę stosowną spytał:

— Piotrze Antonowiczu, czy ciężką macie służbę?

— Nu, lekką nie jest... każdy z tych łajdaków przemyśliwa dzień i noc, jakby mnie oszukać, podejść, omamić, ale u mnie krótka sprawa. Złapię którego, to sam dołożę i zaraz dam znać naczalstwu... i już mu się odechce na drugi raz — uśmiechnął się złośliwie.

— Jednak ojcze, to są biedni ludzie, w więzieniu, oderwani od rodziny, źle karmieni...

— Nu, niechby ciebie twój ojciec słyszał, dałby ci tak, że nie porachowałbyś zębów — zaśmiał się — to dopiero był prawdziwy dozorca więźniów, nigdy nie ulitował się nad żadnym... a miał żelazną rękę.

— Mówiła mi o tem matka, ale myślałem, że przesadzała.

— E, co ona tam wiedziała — wzruszył ramionami lekceważąco — mnie się spytaj... Hej, dobre to były czasy, wolno było karać, bić, ile dusza zapragnie, dziś popsuło się coś, już nie tak srogo, a to źle, bardzo źle.

— Ojcze, zawsze to ludzie, mają duszę...

Dozorca spojrzał na niego oburzony i zawołał gniewnie:

— At, młody jesteś, to i głupi — splunął ostro — jacy oni ludzie?! Nu, dajmy na to ukradł ktoś, bo trzeba mu było a nie miał; zabił kogoś, ot w złości, przez zemstę, albo z miłości, albo z nienawiści... tak to ludzie... ale oni, gorzej psów, znieważają Boga, nie chodzą do cerkwi, drwią z każdej władzy i kalają ozorami swymi święte imię... Co ty się litujesz, wstyd ci, chyba ty nie Szulgin.

— No, nie wiedziałem ojcze, że oni tacy, dziękuję wam za wyjaśnienie.

— Tak, tak, pamiętaj moje słowa, że co Polak, to buntownik; co socyalista, to zbój i gorszy od katorżnika; a co żyd, to oszust. Wieszałbym ich bez pytania i sądu.

Bal, słuchając go, stracił nadzieję pozyskania w nim pomocnika i postanowił wyzyskać ojca chrzestnego, aby zaznajomić się z innym dozorcą, bardziej dostępnym.

— A wy, Piotrze Antonowiczu, długo służyliście z moim ojcem?

— Sześć lat... Panie daj mu niebo — westchnął i przeżegnał się trzykrotnie — ot był człowiek dobry, uczynny, przyjacielski. Bywało przychodzi wieczorem do mnie i mówi: Nu, Piotrze Antonowiczu, ciężki był dzień, dobrze zrobiłby kieliszek; a ja mu na to mówię: późno, nie puści straż; a on mi na to: głupiś, jak mówię, że pójdziemy, to pójdziemy. Przebraliśmy się po cywilnemu i dalej do miasta na hulankę. Oj, było to złote serce.

Bal aż spuścił oczy, aby nie zdradzić swej radości, że nareszcie pochwycił jakąś nić. Kazał dać herbatę z rumem i dolewał staremu, o ile się dało, oszczędzając siebie.

— Piotrze Antonowiczu, opowiedźcież mi o moim ojcu, pamiętam go sierota, jak przez mgłę. Czy był wesoły?

— Hm... wesoły, to nie, ale lubił wypić i zabawić się z przyjacielem. Nie, żeby się upijał, głowę miał dziwnie mocną, ale lubiał kieliszek.



Tajemnica ta jest przy mnie — sięgnął do kieszeni i poszukawszy położył klucz na stole.

— To tak, jak ja — zaśmiał się Bal — ale że go nie pochwycili, jak wracał.

— Jego? — uśmiechnął się — on każdego wyprowadził w pole, taki miał już rozum od Pana Boga dany.

— I macie jaką pamiątkę po ojcu?

— Mam i bardzo dobrą. Razem fotografowaliśmy się, wygląda jak żywy... Chcesz zobaczyć?

— Uradujecie duszę moją, tego tylko pragnę i zróbcie mi tę łaskę — ucałował ramię.

— Dobrze... pokażę ci, bo należy tobie znać ojca, ale ci nie dam, bo to pamiątka po nim i mam drugą także... ale to tajemnica.

Bal kazał dać świeżej herbaty i tak się zakrzątnął, że szklanka dozorcy była pół na pół z rumem, a dla niepoznaki dał dużo cukru i wcisnął cytrynę.

Gdy dozorca wypił pół szklanki, rzekł Bal:

— Mówiła mi moja matka, że wy, Piotrze Antonowiczu, szczery, serdeczny człowiek, a jednak nie chcecie mi powiedzieć prawdy o moim ojcu.

— Ja!? — żachnął się dozorca — krew, duszę oddałbym za twego ojca, pytaj co chcesz, a synowi mego przyjaciela powiem.

— Tak biorę was za słowo... powiedzcież mi jaka była tajemnica, ta druga pamiątka po moim ojcu?

— Oj, ciężkiej rzeczy wymagasz — westchnął — ale dałem słowo, trudno... przysięgnij mi jednak na Preczystą, na zbawienie duszy twojej, że nikomu nigdy nie powiesz.

— Przysięgam.

— Nie tak... powtórz za mną — i wygłosił formułkę przysięgi.

— Tajemnica ta jest przy mnie — sięgnął do kieszeni i poszukawszy, położył klucz na stole — ot i masz, a na drugi raz nie mów, że nie jestem szczery.

— Klucz?? — udał Bal lekceważenie — wielka mi rzecz... chyba że od skarbu, albo co?

— Prawdę mówisz, ten klucz to skarb dla nas, którzy siedzimy we forcie. Ot nudzisz się, chcesz się przewietrzyć, zabawić... i ten klucz to zrobi. Twój ojciec, któremu Pan Bóg dał wielki rozum, wyszukał furtkę ukrytą, dorobił klucz i mnie go powierzył przy wyjeździe. Naczalstwo całe, sam generałgubernator nie wie o tej furtce.

Bal patrzał pożądliwie na klucz, który był równoznaczny uwolnieniu, swobodzie towarzyszów uwięzionych, ale chociażby i spoił dozorcę, zabrał klucz, to sprawy nie posunie naprzód.

Dozorca schował klucz do kieszeni, a Bal kazał podać kolacyę i zażądał chleba świeżego.

W czasie jedzenia rzekł Bal:

— Ucieszy się matka, gdy rozpowiem jej o waszej dobroci i przyjaźni.

— Biedna kobieta—westchnął — mówisz, że chora i bieda u niej.

— Tak mi pisała Maryjka i co oszczędziłem z pracy, zawożę.

— Dużo tego?

— Cała stówka.

— No, toś chwat — ucałował go — a pieniądze masz przy sobie?

— A gdzieżby?... Tylko strach mnie bierze, aby tu na obczyźnie nie obdarli, teraz takie czasy.

— Oj, rozzuchwalili się buntowniki, to prawda... gdzie mieszkasz?

— Na Pradze, u znajomego, bo ja w przejeździe. Spi tam nas trzech w jednej izbie, budzę się w nocy i widzę, jak mi jeden przeszukuje ubranie. Ja nic, szukaj sobie, bo pieniądze miałem pod poduszką.

— Taki sukin syn mógłby ci wyciągnąć z pod głowy nawet.

— Ba, mógłby, gdybym był pijany.

— To i pilnuj się.

Rozmawiali o innych sprawach, a Bal począł udawać pijanego. Wprawdzie i dozorca był podpity, ale zachował tyle przytomności, aby widzieć upicie się Bala.

— Mroczy mnie w głowie — skarżył się Bal— biednyż ja, biedny! Obedrą mnie, okradną, zabiją— narzekał płaczliwie.

— Oj, nie masz ty głowy ojca— westchnął dozorca — i co ja z tobą zrobię?

— Biedna moja matka... wyczekuje tam... a mnie już i nie żyć, gdy zabiorą moją krwawicę.

— No, no, nie narzekaj, toż nie opuszczę syna mego przyjaciela. Piliśmy razem, to i prześpimy się razem.

— Zbawco mój, ojcze — rozczulał się Bal — nie zapomnę wam tego do grobowej deski.

— No, idźmy już... płać, a stówkę oddaj mi, bo zgubisz.

Bal załatwił rachunek, wyjął sto rubli, oddał dozorcy i wyszli na ulicę.

Gdy zbliżali się do fortu szepnął mu dozorca:

— Teraz milcz i cicho.

Bal bacznie badał teren, a idąc ugniatał miękuszkę z chleba. Doszli do załamu muru i omackiem posunęli się w głąb.

W ciszy nocnej odezwał się trzask otwieranego zamka. Dozorca wyjął klucz, wkładał go do wewnętrznej strony furtki, a Bal namacawszy zamek wygniecionym chlebem, odbił otwór, przez który klucz wchodził w zamek.

— Gdzież ty? — szepnął dozorca.

— Jestem, tylko mroczy mnie.

— Daj mi rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jubileusz księcia Bułgarskiego.

Niedawne to jeszcze czasy, gdy Turcya panowała na półwyspie Bałkańskim, gdy baszy-buzucy po ziemiach słowiańskich szerzyli pożogę, by w ten



Jubileusz księcia Bułgarskiego: Ks. Ferdynand.

sposób utrzymać tamtejsze ludy w niewolniczem poddaństwie sułtana. Dopiero ostatnia turecko-rosyjska wojna, postawiła Bułgaryę w szeregu wolnych państw. Po krótkich rządach pierwszego monarchy bułgarskiego, ks. Aleksandra Battenberskiego, który musiał abdykować z powodu wszczętej w kraju rewolucyi, sobranje narodowe powołało na tron obecnie panującego ks. Ferdynanda.

Książę Ferdynand bułgarski urodził się w Wiedniu 1861 roku, jako czwarte dziecko księcia Augusta Sasko-Koburgsko-Gotajskiego i ks. Klementyny Orleańskiej, której winien nietylko swe życie i wychowanie, lecz i późniejsze wyniesienie na tron. Po ukończeniu nauk wstąpił do pułku huzarów węgierskich. Jako oficer uzyskał tron bułgarski.

Bułgarya w chwili powołania na tron ks. Ferdynanda, nosiła na sobie jeszcze bardzo wyraźne ślady poprzednich barbarzyńskich rządów tureckich; stan cywilizacyi mieszkańców był bardzo niski. Kraj cały był ciągle jeszcze w zupełnem rozprzężeniu, zwłaszcza iż ścierały się tam z sobą wpływy rosyjskie i austryackie. Powstawały stąd bezustanne krwawe zamieszki, które bardziej jeszcze obniżały dobrobyt kraju. Młody książę Ferdynand nie łatwo poradziłby sobie z trudnymi warunkami, pośród jakich znalazł się na tronie obcego sobie narodu. Na szczęście miał dwie podpory; zewnątrz kraju matkę, energiczną księżnę Klementynę, która wielkim swym majątkiem podtrzymywała syna na chwiejącym się tronie, a wewnątrz kraju Stambułowa, męża stanu niepospolitej miary, który istotnie sprawował rządy. Obecny rozkwit Bułgaryi w pierwszym rzędzie jest zasługą tego ministra. Ks. Ferdynand nie odznaczał się jednak poczuciem wdzięczności. Po kilku latach otrzymał Stambułow dymisyę i od tej chwili ks. Ferdynand począł sam sprawować rządy. Książę zwrócił się w swej polityce początkowo ku Rosyi, a nawet pierworodnego syna Borysa ochrzcił według obrzędu prawosławnego, z czego powstały niesnaski w domu książęcym, zwłaszcza w stosunku do małżonki księcia, księżnej Ludwiki Parmeńskiej. Pomimo wszystko jednak Bułgarya kroczy naprzód, co najlepiej wskazują dane statystyczne. Sieć linij kolejowych przez te dwadzieścia lat wzrosła w trójnasób, w tym samym stosunku powiększył się i budżet państwa. Również i wywóz towarów obecnie przewyższa o przeszło 20 milionów dowóz, podczas gdy poprzednio w tym samym mniej więcej stosunku dowóz przewyższał wywóz. Armia czynna powiększyła się o 16 tysięcy ludzi.

W tym roku przypadło 20-lecie rządów księcia Ferdynanda w Bułgaryi i z tej okazyi odbyły się w stolicy państwa wspaniałe uroczystości. Miały one charakter święta narodowego. Po mszy polowej, której słuchała rodzina księcia, ciało dyplomatyczne, dygnitarze i tłumy publiczności, nastąpił przegląd wojsk. Gdy wojska przeszły przed księciem ceremonialnym marszem, minister wojny ofiarował księciu wielki złoty medal, wybity na jego cześć, jako naczelnego wodza. Następnie ciało dyplomatyczne, ministrowie, posłowie, żyjący jeszcze członkowie sobranja, które powołało Ferdynanda na tron, oraz 2000 burmistrzów składali księciu życzenia. Prezydent ministrów złożył księciu raport za całe 20 lat jego rządów. Od panujących nadeszły liczne depesze z powinszowaniami.

Do zupełnego szczęścia brakuje jeszcze księciu Ferdynandowi królewskiej korony, o którą dotychczas napróżno się starał; może przyszłość okaże się względniejszą i przyszły jubileusz, dwudziestopięciolecia rządów, będzie obchodził jako król Bułgarów.



Walki pod Casablanką: Rabusie marokkańscy przed patrolem francuskim.

Walki pod Casablanką.

Jakieś fatum złowrogie zawisło w ostatnich czasach nad ludami; ani jeden rok nie mija bez



Walki pod Casablanką Jenerał Drude.

wojny, a ciągłe walki spędziły z powierzchni ziemi boginię pokoju. Zdawało się, że w tych krwawych dziejach rok bieżący będzie jaśniał białą kartą zgody powszechnej, gdy naraz w Marokku zagrzmiały działa i gromy z nich ciągle wstrząsają pokojem. Walka nietylko nie ustaje, lecz wzmaga się ciągle, nabiera coraz większej intenzywności. Po drobnych utarczkach rozpoczęły się bitwy; niedawno musieli Francuzi stoczyć walną bitwę z napadającym nieprzyjacielem.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, iż Maurowie nie napadają wojsk francuskich dziką hordą, która masą ludzi chce pokonać nieprzyjaciela, lecz prowadzą całą akcyę zaczepną z wielkim sprytem, dowodząc, iż dobrze pojęli taktykę armii europejskich. Przy ostatniej walce użyli podstępu, celem wywabienia piechoty z po za szańców. Około 7 tysięcy Arabów w gwałtownym ataku rzuciło się na obronne francuskie pozycye i po krótkiej potyczce opuściło je w spiesznej ucieczce. Jenerał Drude, dowodzący siłami francuskiemi, wysłał za nimi lotny oddział spahisów, który jednak okazał się niedostatecznym, więc na pomoc pospieszyło im stupięćdziesięciu spahisów ze swym kapitanem Caud na czele. Wtedy dopiero rozgorzała walka, a kawalerya francuska naraz ujrzała się otoczoną ze wszystkich stron przez całe chmary Maurów. Smutny los oczekiwał Francuzów, gdyby jenerał Drude nie rzucił na pole walki nowych oddziałów swego wojska, również bateryе francuskie jak i stojący w porcie pancernik poczęły ostrzeliwać pole walki, rażąc celnymi strzałami kawaleryę marokańską. Francuzi odnieśli na razie zwycięstwo, przekonali się jednak, iż nie można już lekcewa-



Walki pod Casablanką: Konsul niemiecki w konsulacie norweskim.

żyć nieprzyjaciela. Arabi są zaopatrzeni w dalekonośne karabiny, równające się broni francuskiej. Sposób zaś ich wojowania, ciągłe podjazdy na wspaniałych szybkich rumakach, nietylko przynoszą szkodę Francuzom, ale i bardzo ich denerwują.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis Kraków.
Turyści amerykańscy: Grono amerykańskich turystów w podwórzu Biblioteki Jagiellońskiej.

Oddziały Arabów zjawiają się nagle, niespodziewawanie, by po kilkunastu strzałach znowu na swych niezrównanych rumakach zginąć z przed oczu. Wojska więc francuskie muszą pozostawać w ciągłem napięciu, każdej chwili oczekiwać ukazania się nieprzyjaciela. Rząd francuski wysłał nowe posiłki do Marokka, tem potrzebniejsze, iż Hiszpania, choć zainteresowana tamtejszemi wypadkami, z powodu obecnych stosunków wewnątrz państwa, nie może tam utrzymywać wojsk. Trudności oczekujące Francuzów, będą teraz i z tego powodu większe, iż zbliża się jesień, okres burz morskich, z powodu których okręty nie będą mogły znajdować się w takiem oddaleniu, by były w stanie swemi działami służyć pomocą wojskom na lądzie.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają podobiznę dowódcy francuskiego jenerała Drude, konsulat norweski z konsulem niemieckim na dachu i patrol francuski na ulicach Casablanki.



Atleci w Krakowie: Chwyt za głowę.

Amerykańscy turyści.

Coraz częściej przybywają do staruszki Europy mieszkańcy Ameryki, aby zwiedzić poszczególne kraje starego lądu, jego miasta piękniejsze, pamiątki wszelkiego rodzaju, bo choć Ameryka jest krajem bardzo cywilizowanym o niesłychanie wysoko rozwiniętym przemyśle — to przecież kultura jej jest młodą zupełnie i zupełnie odrębną i odmienną od europejskiej. Stąd też Europa ze swemi odwiecznemi miastami, z niezwykłemi, pełnemi historycznych wspomnień budowlami, kościołami i zamkami, ma zawsze dla Yankesów dużo uroku i tą przeszłością swą im imponuje.

Amerykanie, wybierając się w podróż turystyczną do Europy, urządzają swoje wycieczki w ten sposób, aby zwiedzić tu każdy wart uwagi szczegół i przebiegają w szybkiem tempie całą Europę od południa ku północy, albo naodwrót. W wycieczkach takich nie pomijają oczywiście Polski, w szczególności Krakowa, który tyle ma pięknych i niezwykłych pamiątek narodowych, interesujących nawet obcych.

Właśnie niedawno zawitało w prastare mury Krakowa grono amerykańskich turystów, złożone przeważnie z pań i kilku młodych ludzi. Turyści ci, oprowadzani przez znanego cicerone'a p. Kleinbergera, zwiedzili całe miasto i wszystkie jego pamiątki, zachwycając się pięknemi, starodawnemi budowlami, bogactwem licznych świątyń, wspaniałemi plantami, a przy tej sposobności zapoznając się bodaj pobieżnie z chlubną przeszłością naszego narodu.

Rycina, w dzisiejszym numerze zamieszczona, przedstawia grono amerykańskich turystów, zgromadzonych w podwórzu Biblioteki Jagiellońskiej.

Atleci w Krakowie.

W parku Krakowskim, w teatrze Rozmaitości, toczą się od pierwszych dni września zapasy atletów, przy udziale kilku wybitnych siłaczów, jak Pytlasiński, Beaucerois, Sabatier, Moldt i in. Publiczność — jak zawsze — pilnie i licznie uczęszcza na te widowiska, śledząc z zaciekawieniem przebieg walki. Zajęcie się i zaciekawienie publiczności zapasami jest duże, mimo iż od czasu słynnych rewelacyj jednego z dzienników warszawskich o „panamie“ atletycznej, wartość tych zapasów zmalała i spadła do zera. Widocznie dla szerokich warstw zawsze ma urok i siłę przyciągającą widok zmagających się olbrzymów, widok ich wysiłków, najrozmaitszych chwytów itp.

Zapasy obecnie w parku Krakowskim się rozgrywające wprowadziły na arenę nowego polskiego siłacza, p. Krempego z Zakopanego. Jest to człowiek młody jeszcze, ogromnie silnej budowy i wcale dobrze przygotowany. Nad całym „zespołem“ góruje jednak — jak zwykle — p. Pytlasiński, którego walkę cechuje spokój i umiejętność. Przeciwieństwo doń stanowi francuski atleta Sa-



Atleci w Krakowie: Pas od tyłu.

batier, który podczas zapasów zapala się i niejednokrotnie nie liczy się z przepisami regulaminu. To też prawie każda walka, w której bierze udział Sabatier, wywołuje głośne objawy niezadowolenia u publiczności a protesty ze strony współzawodników.

Spodziewany jest przyjazd do Krakowa jeszcze dwu znakomitych siłaczów, a to Zbyszka Cyganiewicza i Luricha. Ich przybycie przyczyniłoby się niewątpliwie do jeszcze większego ożywienia zapasów.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy trzy zdjęcia, przedstawiające walczących ze sobą atletów. Na pierwszem z nich wykonywa p. Pytlasiński z p. Piłkowem chwyt za głowę, na drugiem ci sami w pozycyi „pas od tyłu“, na trzeciem wreszcie pp. Moldt i Krempy w pozycyi „pas przewrotny“.



Atleci w Krakowie: Pas przewrotny.

Egzotyczni dyplomaci w Berlinie.



Egzotyczni dyplomaci w Berlinie: Dedjasmatsch Maschascha, nadzwyczajny poseł abisyński.

Na dworze berlińskim bawi obecnie specyalna misya dyplomatyczna Negusa abisyńskiego Menelika, który w ten uroczysty sposób przesyła cesarzowi niemieckiemu wyrazy pozdrowienia i przyjaźni. Cesarz Wilhelm w swej polityce zewnętrznej doznał niejednej porażki w ostatnich czasach. Pomimo licznych kuzynów na tronach europejskich, pomimo mnogich przyjaciół pomiędzy panującymi, bo tak ich tytułuje w toastach wznoszonych na różnych zjazdach i uroczystościach, król państwa bojaźni bożej czuje się osamotnionym, widzi się otoczonym jakby żelaznym pierścieniem przez sprzymierzone z sobę mocarstwa europejskie. W tem opuszczeniu musi być miłem cesarzowi Wilhelmowi uznanie, jakie spotyka go od władców egzotycznych. Jakby przeczuwając zawczasu obecne niepowodzenia w polityce, już kilka lat temu zwrócił cesarz Wilhem uwagę swą na państwa odleglejsze, by w nich ugruntować swą powagę. Gdy Francya z powodu swych rządów antireligijnych utraciła swe wpływy w Ziemi świętej i nie mogła tem samem sprawować protektoratu nad tamtejszymi chrześcijanami, cesarz Wilhelm wybrał się zaraz do Palestyny z liczną świtą, by swym przepychem olśnić tamtejsze kraje. Podróż ta powiodła się. Znaczenie cesarza Wilhelma wzrosło, a wieść o tem dotarła aż do Abisynii.

Obecne poselstwo abisyńskie ma także prosić cesarza Wilhelma, by wstawił się do sułtana tureckiego Abdul Hamida, jako głowy muzułmańskiego kościoła, w sprawie życzeń mahometan abisyńskich co do urządzenia klasztorów muzułmańskich.

Na czele tego poselstwa znajduje się Dedjasmatsch Maschascha, abisyński dygnitarz, który w ojczyźnie swej piastuje wysokie godności. Odznaczony tytułem książęcym, kilkakrotnie już brał udział w podobnych wycieczkach dyplomatycznych do Europy. Jak widzimy na załączonej fotografii, dyplomata ten przybrany jest w wspaniały strój i niezwykły, oryginalny hełm. Pierś jego zdobi wiele orderów, pośród których na pierwszem miejscu widnieje krzyż; abisyńczycy bowiem już od IV wieku są chrześcijanami, posiadają tylko swój własny obrządek.

Zmiana w dyrekcyi poczt.

Przed paru dniami pożegnali urzędnicy galicyjskiej dyrekcyi poczt i telegrafów ustępującego po 36-letniej pracy radcę dworu, p. Józefa Stögbauera. Nazwisko tego dzielnego urzędnika znane jest nietylko w kołach pocztowych, ale i w szerokich sferach społeczeństwa, gdyż p. Stögbauer, będąc kierownikiem biura organizacyi kursów pocztowych, dał się poznać jako wytrawny znawca stosunków i potrzeb kraju pod względem komunikacyi.

Dzisiejsza jej organizacya, o ile leżała ona w zakresie działań dyrekcyi — jest też głównie jego zasługą. Starał się również zawsze o to, aby biuro jego było prawdziwą szkołą dla młodszych pracowników. Umiał ocenić istotną pracę i zachęcić do niej, wskazując na szczytne zadanie instytucyi pocztowej wobec kraju i społeczeństwa.

Niemiec z pochodzenia, wychowany jednak w naszym kraju, dbał zawsze o czystość i właściwość języka polskiego w wypracowaniach podwładnych urzędników, czem przyczynił się wielce do usunięcia wielu, z dawna zakorzenionych słów i wyrażeń znanego „stylu urzędowego“.

Pracując niezmordowanie tyle lat w zakresie spraw pocztowo-telegraficznych, zasłużył sobie rzetelnie na jak najdłuższy a miły odpoczynek.



Zmiana w dyrekcyi poczt: Radca dworu Józef Stögbauer.

Ku „ziemi obiecanej“.

W bieżącym roku do lodowej krainy wybiera się nowa ekspedycya naukowa. Dzielnych podróżników nie odstręcza smutny los André'go,



Ku »ziemi obiecanej«: Podróżnik Wellman przed halą z balonem na Spitzbergu.



Ku »ziemi obiecanej«: Hala z balonem i budynki z przyrządami do wyprawy.

o którym wieść nawet zaginęła, nie odstręczają nieprzezwyciężone trudności; narażają oni chętnie życie, byle tylko zbadać tę ziemię obiecaną i zdobyć coś dla nauki. Do tej pory podróże do bieguna północnego odbywały się przeważnie na okrętach, odpowiednio zbudowanych do walki z lodami. Niestety nie okazywały się one dość zdolnymi, by posunąć się w głąb państwa lodów i mrozu. Obecnie, w końcu tego miesiąca amerykanin, Walter Wellman, wyrusza do tych krain balonem. Podróżnik ten, były dziennikarz amerykański, kazał zbudować w Paryżu wielkich rozmiarów balon do sterowania „Ameryka“, który ma oprócz niego pomieścić jeszcze siedmiu jego towarzyszów. Płynąć więc będą w powietrzu Wellman, major Hearsey, inżynier Vaniman, doktór Fowler, Feliks Riesenberg, aeronauta francuz Gaston Hervieu i dwóch robotników z Norwegii. O rozmiarach tego balonu może świadczyć i to, iż podróżnicy zabierają ze sobą, oprócz odpowiedniej ilości pokarmów, także tratwę składaną, łódź i dwanaście psów. Budową balonu, który pokryty jest bawełną kauczukową i nagumowanym jedwabiem, kierował inżynier Vaniman według własnych planów. Wszelkie przedwstępne prace do wyjazdu były przygotowane już w roku zeszłym na północnym brzegu Spitzbergu, skąd ma wyruszyć ekspedycya. Na załączonej rycinie widzimy ogromną białą hallę, w której właśnie dokonywują się ostatnie prace przy balonie. Druga rycina przedstawia samego podróżnika Wellmana. Przed ostatecznem wyruszeniem w podróż mają się dokonać naprzód próby wzlotu; po nich dopiero przy wschodnim wietrze ma się Wellman wznieść w górę mniej więcej na 100—150 metrów wysoko i płynąć już po swą zdobycz. Doświadczeni aeronauci nie przewidują pomyślnego wyniku tej ekspedycyi; według ich mniemania jeszcze nie zupełnie odpowiednio wyekwipował się Wellman do tak ciężkiej podróży. W każdym razie śmiałemu podróżnikowi cały świat życzy „szczęśliwej drogi“.



Nowy kapelmistrz wiedeńskiej opery: Feliks Weingartner.

Wóz Drzymały.

Rząd pruski i jego wierni poddani, hakatyści, nie przebierają w środkach, aby tylko wesprzeć niemczyznę na „kresach wschodnich“, aby gnębić żywioł polski, rosnący wbrew ich woli i rozwijający się coraz piękniej. W stosowaniu szykan najrozmaitszego rodzaju, w utrzymywaniu panowania żelaznej pięści dawno już zapomnieli o rozwadze, o sprawiedliwości, słuszności, a nawet rozsądku. Przesada jest tak wielka i tak rażąca, że nawet pisma niemieckie, których chyba o sympatye dla Polaków podejrzywać nie można, wyszydzają coraz częściej wysiłki hakatystów i ich dziwaczne pomysły, podnosząc przytem, iż wykonywanie ich przynosi raczej szkodę interesom niemieckim niż pożytek.

Do jakich absurdów prowadzi stosowanie w praktyce niektórych ustaw wyjątkowych, dowodzi przykład z dzielnym pewnym włościaninem polskim. W miejscowości Rakwienice kupił ubogi ale przedsiębiorczy włościanin polski Drzymała 15 morgów gruntu. Podczas przedsięwziętych starań o uzyskanie zezwolenia na osiedlenie, zbudował na nabytym gruncie stodołę i małą stajenkę. Ponieważ § 13 noweli osadniczej jest w ostatnim czasie stosowany z ogromną surowością, więc pozwolenia odmówiono. Wtedy Drzymała uciekł się do zabawnego ale ogromnie sprytnego wybiegu. Na podwórzu sąsiedniej gospody niemca Kindermanna stał oddawna nieużyteczny wóz, jakiego właściciele cyrków i karuzeli używają do przewożenia swych rodzin. Włościanin kupił ten wóz, sprowadził go na swoje pole i ustawił w odpowiedniej odległości od budynków gospodarczych. Niebawem przybyła na miejsce komisya policyjna, nie mogła mu jednak zabronić mieszkania w wozie, ponieważ ma on koła i jest ruchomy. Wewnątrz wozu ustawił Drzymała dwa łóżka, żelazny piecyk, stół i kilka krzeseł i mieszka tam wraz z żoną i z trojgiem dzieci.

Fakt ten jest tak potwornym, dowodzi takiego zaślepienia Prusaków, że z pewnością znajdą się — zwłaszcza zagranicą — ludzie, którzy w wiadomości o tem nie uwierzą. Bo trudno zaiste przypuścić, iż jest na kuli ziemskiej państwo niby cywilizowane, gdzie obywatelom nie wolno wybudować domu na własnym gruncie, trudno uwierzyć, że niesłychane bezprawie, popełnione przez rząd pruski na osobie włościanina Drzymały, jest oparte na literze prawa. Ale wobec Polaków — rząd pruski na wszystko sobie pozwala. Być może, iż wyda on ustawę, wzbraniającą im rano spożywać śniadania. Ostatecznie nie byłaby ona potworniejszą od zakazu osadnictwa.

I nikt chyba nie wątpi, że tego rodzaju postępowanie hakatystów nie może doprowadzić do zgniecenia żywiołu polskiego. Przeciwnie. Rozwija się on i potężnieje coraz bardziej a prześladowcy ośmieszają się i kompromitują. Wóz Drzymały, jako symbol zwyrodniałej kultury pruskiej, jako symbol prześladowania narodu polskiego, podkopie do reszty kredyt moralny polityki antypolskiej a naszym braciom w Poznańskiem przysporzy nowych przyjaciół. A włościaninowi Drzymale, który wozu swego strzeże pilnie, jako „placówki“ narodowej — cześć za to i chwała. Wszystko to złe, które w tym wozie znosić musi, zemści się na hakatyzmie i plaga ta musi pod naciskiem opinii całego świata runąć haniebnie.



Specyalne zdjęcie dla »Now. Illustrowanych«.

Wóz Drzymały: Wóz w Rakwienicach, w którym zamieszkał włościanin polski Drzymała wraz z rodziną.



Specyalne zdjęcie dla »Now. Illustrowanych«.

Wóz Drzymały: Budynek gospodarski w zagrodzie Drzymały.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

9 Ciąg dalszy.

— Bo widzisz, ja ciebie tak kocham, moja Leo!

— A czy myślisz, że ja ciebie nie kocham? Ale muszę teraz być grzeczną i posłuszną... Dalej! wypij to! a potem wprowadzę cię do twojego pokoju, gdzie odpoczniesz trochę — dobrze?

Helena zgodziła się na wszystko. Wzięła szklankę z rąk przyjaciółki i wypiła jednym tchem wodę. Miała gardło spieczone i suche, a woda zimna i świeża orzeźwiła ją trochę. Gdy wypiła, uśmiechnęła się do Lei—oparła delikatnie swoją rękę na jej ramieniu i udała się powolnym krokiem do swojego pokoju osłabiona jeszcze, lecz z twarzą spokojną i łagodnem spojrzeniem. Wtedy stała się rzecz dziwna.

Przez chwilę weranda była pustą. Ale nagle uchyliła się dyskretnie jedna z ciężkich portyer aksamitnych i lokaj w liberyi hrabiego Senneterre wsunął się, stąpając cicho i ostrożnie pod gęste krzewy i palmy. Twarz miał bladą, czoło w tył biegnące, spojrzenie przenikliwe i ostre, w którem przebijał się fałsz. Przebiegłem, kociem spojrzeniem obrzucił kilkakrotnie wszystkie zakątki oranżeryi, poczem powrócił do drzwi, uchylił portyerę i uczynił znak komuś ukrytemu w ciemnościach.

— No cóż tam, panie Jędrzeju — zapytał szeptem. — Opuszczasz mnie pan już? Czy obawiasz się, że nam tu ktoś przyjdzie przeszkodzić?

Na te słowa wsunął się zza portyery drugi lokaj. Był on mały i gruby i nosił krótkie strzyżone bokobrody.

— Nie potrzebujemy się niczego lękać — rzekł zbliżając się do towarzysza — z dwóch przyczyn. Po pierwsze, o tej godzinie nikt nie wchodzi tu bez mojej wiedzy, gdyż mam rozkaz nie wpuszczania nikogo, po drugie, masz pan na sobie liberyę hrabiego i widok pana nie zadziwiłby tu nikogo, tem bardziej, że znajdujesz się w mojem towarzystwie.

— W tem miejscu, gdzie się ukryłem za pańską poradą, było mi źle; nie wiele widziałem i prawie nic nie słyszałem... no, ale pan temu nie winien i nie myśl, że szukam powodu, by wycofać się z korzyścią z naszej umowy. Uregulujemy więc nasze rachunki... Dałem panu już sto franków zadatku za wprowadzenie mnie przebranego w tę wspaniałą liberyę lokajską do hotelu.

— Kostyum ten należał do Józefa, który się wczoraj stąd wydalił.

— Mniejsza o to... skoro leży doskonale na mnie... Pozostaje mi więc jeszcze sto franków, które panu były przeznaczone.

— O! naprawdę, pan jest bardzo uczciwy człowiek, warto panu usłużyć.

— Czy wątpiłeś o tem, panie Jędrzeju?

— Od chwili, w której mi pan zapłacił, nie wątpię wcale.

— Panie Jędrzeju! Jesteś wielkim filozofem, na mój honor! Ale nie traćmy czasu... oto te drugie sto franków... i skoro załatwiliśmy naszą sprawę ku obopólnemu zadowoleniu, pomówimy o czem innem. Przy końcu rozmowy znajdzie się jeszcze jakie małe honoraryum dla pana.

— Jestem na pańskie usługi.

— Czy czuje się pan zadowolonym ze służby u hrabiego Senneterre?

— Tak, średnio! Hrabia nie jest ani złym człowiekiem ani dobrym.

— Czy dawno jesteś pan w jego usługach?

— Kilka lat dopiero, przybyłem na krótki czas przed odjazdem pana Dawidson'a.

— Któż to jest pan Dawidson?

— Ojciec panny Lei.

— Ah! ah!... a o tej młodej pannie co mówią? Czy można jej co zarzucić?

— Może...

— Panie Jędrzeju, bądź pan wymowniejszym, podwoję gratyfikacye.

Zacny służący uśmiechnął się.

— Doprawdy — rzekł, jakby zwalczony argumentami swojego towarzysza — nie można się panu oprzeć i odmówić czegokolwiek. A więc, wie pan, że ta panna niepokoiła mnie często.

— Doprawdy... o to coś ważnego... Musiałeś pan zapewne mieć powody, by się tak niepokoić?

— Phi! i to jakie! Naprzód wszyscy w pałacu myśleli przez czas pewien, że ona wyjdzie za hrabiego.

— Do dyabła!... Ale hrabia, jak słyszałem, nie jest bogaty... Majątek, z którego korzysta, jest własnością jego siostrzenicy — i doprawdy nie rozumiem... stary człowiek, do tego ubogi, nie jest chyba bardzo ponętnym mężem dla tak młodej dziewczyny.

— Zdaje się też, że ona porzuciła tę myśl.

— Dobrze uczyniła. I to spostrzeżenie uspokoiło pana — nieprawdaż?

Jędrzej poruszył głową przecząco.

— Nie! myli się pan — odpowiedział. — Małżeństwo panny Lei z hrabią byłoby do wytłómaczenia, ale dzieją się tu inne rzeczy, nie bardzo jasne!

— Cóż takiego?

— Słuchaj pan! ta dziewczyna jest naprawdę szczególna; zamiast mieszkać w willi, która, jak pan widzi, jest jedną z najpiękniejszych w Paryżu, ona wymogła na hrabiu Senneterre pozwolenie zamieszkania w pawilonie, znajdującym się w parku. Ogrodnik, który wcale nie jest złośliwym człowiekiem, opowiadał w kuchni, że widział ją kilkakrotnie wracającą nad ranem w męskiem ubraniu...

ROZDZIAŁ IX.

Pod maską.

— To szczególne; naprawdę? I cóż mówi służba na to?

— Oh! widzi pan, my jesteśmy ostrożni... Bardzo możliwem jest, że będzie ona jeszcze kiedyś hrabiną Senneterre, więc milczy się.

— Czy hrabia wie o tych nocnych wycieczkach?

Na to pytanie Jędrzej się zmięszał; powieki jego szybko drgać zaczęły i spojrzał wokoło trwożnie, jakby bojąc się być podsłyszanym. W tej chwili nieznajomy uznał za stosowne wsunąć w rękę sługusa trzeci banknot stufrankowy. Hojność ta odniosła pożądany skutek.

— Czy mam panu wszystko powiedzieć? — zapytał zniżając głos.

— Sądzę, że wynagradzam pana dostatecznie? — odparł domniemany lokaj.

— Otóż co w tem wszystkiem jest szczególnego, to to, że hrabia zdaje się o wszystkiem wiedzieć.

— Czy to być może? I pozwala na coś podobnego?

Jędrzej położył palec na ustach.

— Jestem przekonany, że wie o wszystkiem! Ale drudzy myślą inaczej. Ja zaś urządzam się dość sprytnie. Wierzę pannie Lei i służę jej.

— Jakto? tak z dobrego serca?

— Eh! panienka jest bardzo szczodra. Lubi pieniądze rozrzucać i nie czeka, aż się jej coś z łaski zrobi.

Domniemany lokaj uśmiechnął się chytrze pod wąsem.

— Ale powiedz mi pan, co znaczą te nocne wycieczki? — zapytał, nie spuszczając z oka Jędrzeja.

Sługus zdawał się być pomięszanym tą uporną obserwacyą.

— Kto wie! — rzekł niepewnym głosem. — Nie chciałbym nic ukrywać przed panem, ani pana w błąd wprowadzić, przez pewien czas myślałem, że panna Lea miała jakiego znajomego i nie mogąc spotykać go tutaj...

— Spotykała się z nim gdzieindziej?

— Tak jest.

— I nigdy nie byłeś pan tak ciekawy, aby... No, ale teraz myślisz pan inaczej... i porzuciłeś to podejrzenie, jako zanadto obrażające pannę Leę.

— Mój panie, trzeba być sprawiedliwym, nawet wobec swoich chlebodawców. Od kilku dni jestem przekonany, że się myliłem i że pannę Leę posądzałem niesłusznie.

— A to szczęśliwie!... jestem z tego bardzo zadowolony. Widzę teraz jasno, że panna Lea jest panienką, o której nic ubliżającego powiedzieć nie można i jeżeli wychodzi nocą to jedynie po to, by módz się pomodlić w kościele św. Filipa lub gdziekolwiek indziej.

Jędrzej chciał się uśmiechnąć, lecz uśmiech ten zamarł mu na ustach, gdy spojrzał na swojego interlokutora. Tenże wyprostował się, energiczna zmarszczka przecinała jego czoło, powieki jego drżały, jakby chciał ukryć ogniste spojrzenie swych oczu.

— Kochany panie Jędrzeju! — rzekł głosem rozkazującym i stanowczym — przypatrz się mi dobrze i zapamiętaj mniej! Dzięki Bogu nie jestem jeszcze idyotą albo tumanem i mylisz się drogi panie, że dla kaprysu obrzucam cię stufrankówkami. Nazywam się Rigolo, panie Jędrzeju, i należę do policyi — rozumiesz mnie? Chcę, żebyś wiedział, że mnie nie tak łatwo wyprowadzić w pole i że nie spotkałem jeszcze nigdy w życiu człowieka, któryby się zabawił moim kosztem. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy... ale nie zapomnij wtedy, mości Jędrzeju, że będziesz miał przed sobą zucha, który cię może zaprowadzić tam, gdzie musielibyśmy cię zatrzymać czas pewien, bo sądzę, że nie we wszystkiem jesteś w porządku a i w twojej przeszłości znalazłoby się niejedną rzecz niejasną. A teraz mam honor cię pożegnać a nie zapomnij o mnie, mój drogi, i przypomnij mnie z łaski swojej zacnej małżonce, pani Jędrzejowej!

Po tych słowach Rigolo skierował się do drzwi i znikł, znaim ogłupiały sługus mógł oprzytomnieć ze zdziwienia i przestrachu.

Upłynęło kilka minut a Jędrzej stał jeszcze jakby przykuty do tego samego miejsca. Noc już zupełnie zapadła... ciemności zaległy wokoło... lokaj bał się ruszyć. Rigolo wspomniał coś o jego przeszłości! O! jakże on nie lubiał, aby kto żartował sobie na ten temat! Czuł zimne dreszcze, przebiegające mu pod skórą. Nagle zbladł strasznie i skoczył w tył.

Ręka jakaś dotknęła jego ramienia... Stłumił okrzyk przestrachu i odwrócił się zatrwożony. Poznał Leę.

— Boisz się — rzekła młoda kobieta z uśmiechem pogardy.

— Ja! Ale skądże znowu?

— Milcz! i słuchaj! Odpowiadaj tylko na pytania! Widziałeś Rigola?

— Dopiero co wyszedł.

— Pytał się o mnie?

— Pytał o panią, o pana hrabiego — o wszystko...

— I odpowiedziałeś mu tak, jak ci rozkazałam.

— Tak jest, tylko...

— Cóż takiego?

— Może się mylę, ale jestem przekonany, że ani słowa nie uwierzył w to, co mu mówiłem.

Młoda kobieta uczyniła ruch jakby potwierdzający słowa lokaja.

— Dobrze — rzekła. — Jak widzę ten Rigolo jest godnym uczniem Buvarda: zręczny jest, ale nie trzeba przeciągać struny. Jak przyjdzie drugi raz powiesz mu wszystko złe, które myślisz o mnie!

Jędrzej skoczył w tył zaniepokojony.

— Panienka żartuje sobie ze mnie — zawołał.

— Nie mówiłam nigdy poważniej, niż w tej chwili — odpowiedziała stanowczo, prawie brutalnie. — Czy myślisz, że mnie oszukasz swoim pokornym układem i że nie wiem, ile nienawiści kryjesz pod tą usłużnością lokajską. Pamiętaj więc, co ci mówię i jak masz postąpić w razie powrotu Rigola. Powiedz wszystko, co wiesz o mnie, wymyśl najgorsze infamie i insynuacye... a potem przyjdź do mnie, a dam ci dwa razy tyle, ile ci dał Rigolo za twoje podłe usługi.

Jędrzej chciał protestować, ale młoda kobieta stanowczym ruchem drzwi mu wskazała.

— Idź! — rzekła — już dosyć!... zostaw mnie!... a strzeż się być mi nieposłusznym. Mogę poinformować w każdej chwili Rigola, o czem on nie wie jeszcze. Mogę mu powiedzieć, jaką to rolę odegrałeś przy hrabiu des Tournelles przed wstąpieniem do willi Senneterre.

Lea nie dodała już więcej ani słowa. Podniosła nagłym ruchem portyerę i oddaliła się szybkim krokiem, udając się do pawilonu. Pozostała tam z godzinę, poczem wyszła znowu i skierowała się do furtki, wychodzącej na ulicę Gabryela. O kilka kroków od parku czekał powóz. Lea otworzyła drzwiczki i usiadła.

— Na ulicę Helder 36 — rzekła do stangreta.

Powóz ruszył. Po kwandransie drogi zatrzymał się na ulicy Helder, pod wskazanym domem. Lea wyskoczyła na chodnik i wbiegła do środka.

— Pan hrabia des Tournelles? — zawołała przechodząc obok loży portyera i miała już iść dalej, gdy portyer pobiegł za nią.

Zatrzymała się zdziwiona.

— Co jest? — zapytała wyniośle.

Portyer skłonił się pokornie.

— Bardzo przepraszam panią, ale ośmielam się zwrócić uwagę... Pani udaje się do hrabiego des Tournelles?

— Tak jest... i nie po raz pierwszy.

— Wiem o tem... ale dzisiaj... to... może byłoby dobrze, gdyby pani wiedziała...

— Ależ mówcie przecie...

— A więc... od wczoraj jakaś kobieta jest u pana hrabiego...

Lea nie spodziewała się tej wiadomości, to też nie mogła zapanować nad ruchem zdziwienia.

Hrabia Tournelles zajmował na pierwszem piętrze wspaniały apartament. Lea w kilku sekundach przebiegła schody i przycisnęła żywo guzik od dzwonka.

Lokaj przyszedł jej otworzyć.

Poznał Leę, ale tym razem zdawał się być pomięszanym i wahając się stał przy drzwiach, nie wiedząc co robić. Lea wybuchnęła głośnym śmiechem i odsuwając żywym ruchem lokaja, weszła do salonu. Sługa zaś pobiegł oznajmić hrabiemu wizytę młodej dziewczyny. Hrabia przybiegł natychmiast a Lea przywitała go ironicznym uśmiechem.

ROZDZIAŁ X.

Spólnicy.

— Nie myślałam, że przeszkodzę panu — zawołała z szczerą wesołością — i pozwól mi pan dodać, że jeżeli wybrałam się nie w porę, odejdę natychmiast.

Hrabia Henryk des Tournelles mógł mieć lat 30; był wysoki i szczupły, włosy miał czarne, krótko strzyżone, wyraz twarzy energiczny z odcieniem fałszu i oziębłości. Na pierwszy rzut oka czynił wrażenie człowieka, któremu obce są wszelkie lepsze uczucia i którego obcowanie w świecie nie potrafiło uszlachetnić i złagodzić. Zajmował w Paryżu stanowisko niejasne, choć prowadził życie tak wystawne, że jedynie wielka fortuna mogła je wytłómaczyć. Nikt nie mógł powiedzieć, z jakiego źródła czerpał dochody, by opłacić zbytek, którym się otaczał, bywając w najwyższych sferach arystokracyi francuskiej. Ponieważ grał dużo i szczęśliwie, niektórzy myśleli, że tem pokrywa swoje wydatki i utrzymanie domu i służby na stopie magnackiej. Wkrótce jednak i to przypuszczenie upadło, gdy przekonano się, że młody hrabia przegrywa znaczne sumy i nie zdaje się być wcale dotkniętym temi stratami. Znany był szeroko w towarzystwach viveurów paryskich, w towarzystwie bardzo mięszanem, którego członkowie postępują ze sobą z zadziwiającą tolerancyą i wyrozumiałością.

Hrabia Tournelles zajmował wspaniały apartament przy ulicy Helder. Dwa razy bił się w pojedynku i za każdym razem wyszedł zwycięsko z walki. Dla świata, w którym się obracał, było to ostatecznie rekomendacyą. Hrabia stał się modnym od pewnego czasu z łaski niedyskrecyi swoich znajomych. Było to u Riche'a przy kolacyi. Przy końcu uczty baron de Présalé prosił audytoryum o głos, chcąc uczynić pewne zwierzenie — warunkując je otrzymaniem słowa honoru zebranych.

Baron de Présale był to sobię prowincyonalny, młody głupiec, którego traktowano z wyrozumiałością, z powodu jego olbrzymiej fortuny. Słowo zostało danem. Wtedy młody baron bez ogródek oznajmił, że w przeddzień tego wieczoru, wracając z jakiegoś spaceru czy wizyty, zobaczył hrabiego des Tournelles, wysuwającego się cichaczem z willi Senneterre. A dodać trzeba, że była to późna już godzina. Była to istna bomba teatralna! Wiadomo, że dwie kobiety zamieszkują willę Senneterre i wielu znało je; jedną była Lea, dziwna dziewczyna, która zwracała uwagę ogólną swoją pięknością i gorącym temperamentem; drugą była Helena de Senneterre, siostrzenica hrabiego, uchodząca za najmajętniejszą pannę w tej arystokratycznej dzielnicy. Czy des Tournelles był kochankiem jednej lub narzeczonym drugiej — mniejsza o to, w każdym razie fakt sam dla siebie był sensacyą niebywałą. Towarzystwo prowadziło gorączkowe rozmowy na ten temat... nazajutrz wieść rozbiegła się po mieście, a hrabia des Tournelles zyskał na popularności i znaczeniu. Każdy korzystał z wiadomości, nie pytając się, czy jest prawdziwą czy zmyśloną i dzięki tej „nowości dnia“ hrabia des Tournelles uzyskał prędko znaczną pożyczkę, o którą starał się od pewnego czasu bezskutecznie. Pomimo zewnętrznych warunków, którymi imponował swoim towarzyszom, hrabia nie mógł nigdy wejść z nimi w serdeczny stosunek zażyłości i przyjaźni; po części winien był temu nieprzyjemny charakter młodego człowieka.

Henryk des Tournelles był zamknięty w sobie i ostrożny; zapytywał chętnie nieraz z rażącą niedyskretnością swoich znajomych o ich bliższe stosunki, ale sam nigdy się nie zwierzał. Charakter jego objawiał się w dwojaki sposób: był otwarty i na pozór wylany, szczodry i wesoły — to znowu zamknięty w sobie, tajemniczy i niezbadany. Nawet jego kochanki niewiele o nim wiedziały. Opowiadano na ten temat o pewnem zdarzeniu, które na zawsze zostało niewytłómaczonem. Hrabiego wówczas łączyły ścisłe stosunki z pewną młodą kobietą — imieniem Fanchetka. Fanchetka posiadała wielką wadę — była ciekawa do niemożliwości. Ponury charakter hrabiego pociągnął ją do niego, poszła ku niemu dręczona niezwykłą ciekawością i pragnieniem poznania tego człowieka! Dzieci często niszczą swoje lalki, by módz zobaczyć, co się w ich wnętrzu kryje. Franchetka chciała wiedzieć, co kryje w sobie hrabia. Nie kochała go, ale chciała zadowolnić swój niepokojący kaprys.



— Milcz i słuchaj! Odpowiadaj tylko na pytanie!

A może rzecz ta była umówioną między nią a znajomymi hrabiego i miłość własna nie pozwoliłaby jej się przyznać do przegranej. Pewnej nocy przybyła do mieszkania hrabiego przed jego nadejściem. Ulokowała się w małym buduarku i czekała. Godzina upłynęła; Fanchetka zaczęła się niecierpliwić — wstała i zaczęła myszkować po pokoju. Pootwierała szuflady stolików, biurek, a w końcu poszła do drugiego pokoju... Był to gabinet hrabiego, którego progu jeszcze nigdy nie przestąpiła.

Gabinet ten był umeblowany z prostotą; biurko dębowe, firanki u okien i drzwi z ciężkiego aksamitu, duże weneckie lustro, nad którem wisiał portret kobiecy w oprawie z machoniu. Fanchetka mimowolnie zadrżała. Z portretu patrzały na nią oczy o głębokiem, błyszczącem spojrzeniu. Chciała się cofnąć, pomięszana, lecz ciekawość przemogła obawę. Postawiła lichtarz z zapaloną świecą na biurku i spojrzała wokoło... nagle spostrzegła szczególny sprzęt, rodzaj małej, żelaznej szkatułki, stojącej nieopodal biurka.

A może tu kryła się tajemnica hrabiego? Ale jak się wziąć do tego? Machinalnie ręka jej konwulsyjnie zacisnęła się na szkatułce i pomagając sobie drugą ręką, podniosła ją usiłując otworzyć. Pierś jej podnosiła się dysząc ciężko, zęby zacisnęły się nerwowo, w uszach czuła szum niezwykły. Szkatułka była silnie zamknięta... nie mogła jej otworzyć... Ciekawość ją podniecała! Nagle krzyknęła głośno, opuściła szkatułkę i zsunęła się osłabiona na ziemię. Szkatułka upadając otworzyła się. Przed oczami Fanchetki przesunął się maleńki, błyszczący sztylet.

Hrabia wszedł do pokoju cicho i stał nad nią z oczami krwią nabiegłemi, ustami wykrzywionemi od gniewu, z twarzą pobladłą i wzburzoną.

— Nędznico! — zawołał, podnosząc ją ruchem brutalnym z ziemi. — Po coś tu przyszła? powiedz, kto ci do tego dał prawo?

— Przebacz... przebacz mi — wyszeptała młoda kobieta wylękniona i wzruszona.

— A więc wiedziałaś o tej szkatułce? Ktoś ci zatem powiedział, że znajdziesz ją w tym pokoju?

— Przysięgam ci, że nie!... Przyszłam... bo nudziło mnie tak długie czekanie... Weszłam tu bez celu... Zobaczyłam tę szkatułkę... Chciałam się dowiedzieć, co zawiera... i wtedy...

Fanchetka bardzo się przelękła, ale już wracała jej zwykła pewność siebie i krew napłynęła do jej pobladłej twarzy.

— Zresztą wiesz — ty masz szczególny sposób wyrażania swojego niezadowolenia — rzekła — i jeżeli to ci się często trafia, to nie bardzo bezpieczną rzeczą jest przebywać w twojem mieszkaniu, mój drogi hrabio!

— Wybacz mi! uniosłem się — odpowiedział hrabia, który powoli wracał do normalnego stanu.

— W tej szkatułce mieszczą się zapewne ciekawe i drogie dla ciebie rzeczy — zapytała złośliwie kobieta — pewnie kobiece liściki?

— Nie mylisz się.

— I nie można ich zobaczyć?

Mówiąc to schyliła się, chcąc zbadać zawartość szkatułki, ale tym razem hrabia ryknął, jak zwierz raniony, i uchwycił kochankę za szyję.

— Dosyć! już dosyć! — zawołał szarpiąc nią brutalnie — wynoś się a strzeż się powiedzieć komukolwiek o tem, co się tu wydarzyło tej nocy, słyszysz!

Historya ta, conajmniej niezwykła, zaniepokoiła Fanchetkę, która lękając się zemsty kochanka, nie wspomniała o niej nikomu, ale po mieście rozeszła się i tak wieść, że hrabia rozszedł się z dziewczyną po jakiejś gwałtownej i tajemniczej sprzeczce. Hrabia zachował opinię legendowego „Sinobrodego“.

Po niejakim czasie Fanchetka znalazła pocieszyciela. Był nim młody Jerzy Beraldi, który urządziwszy już dostatnio dom swój i stajnie, postarał się o kochankę, by się niczem nie wyróżniać od młodych paniczów owego czasu. Z Fanchetką łączył go bardzo spokojny i nieszarpiący stosunek. Była jednym z kosztownych mebli jego bogatego apartamentu. Takim był więc hrabia Tournelles w chwili, gdy Lea przybyła go odwiedzić.

Na widok młodej dziewczyny zmieszał się lekko... Zapewne nie spodziewał się jej zobaczyć i uderzyły go bardzo niemiło ironiczne słowa, jakiemi go przywitała. Usiłował się jednak uśmiechnąć grzecznie.

— Pani wie dobrze, że jej obecność sprawia mi zawsze radość — rzekł uprzejmie — tembardziej, że chwile, w których pragnę z panią sam na sam pozozmawiać, stają się coraz rzadsze i przyzna pani, nie z mojej winy. Jednakże nie mogę zaprzeczyć, że wizyta pani o tej porze zadziwia mnie cokolwiek i pozwala przypuszczać, że stało się coś nadzwyczajnego. Zaczyna mnie to nawet niepokoić.

— To bardzo dobrze — zawołała młoda kobieta. Powinien się pan trochę niepokoić!

— Czy pani ma jakie wiadomości dla mnie? — zapytał hrabia.

— Mam panu powiedzieć rzecz jedną, że jestem już znużona tem wszystkiem i pragnę, żebyśmy już raz ze sobą skończyli.

— Czy nie uczyniłem wszystkiego, co mi rozkazałaś?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nowi posłowie sejmowi.

W dniu 3 b. m. odbyły się uzupełniające wybory do sejmu galicyjskiego w czteru okręgach wyborczych. We Lwowie w okręgu miejskim z powodu śmierci śp. posła Michalskiego, w Żółkwi w kuryi większej własności z powodu złożenia mandatu przez p. Tadeusza Starzyńskiego, wreszcie w okręgach wiejskich: turczańskim i zbaraskim z powodu śmierci posłów Glidziuka i Ostapczuka.



Nowi posłowie sejmowi: Radca dr. Józef Hanczakowski.

Wobec tego, że bieżąca kadencya sejmowa zbliża się ku końcowi i odbędzie się w niej tylko jedna krótka sesya celem załatwienia budżetu i reformy ordynacyi wyborczej sejmowej, nowi posłowie nie będą już mieli możności odegrania wybitniejszej roli. To też i te uzupełniające wybory minęły w kraju bez zwykłego w takich wypadkach zainteresowania, kandydatów było nie wielu, a walka wyborcza przeszła wszędzie spokojnie i cicho.

Mimo to wszystko wybór w dwu okręgach był bardzo znamiennym, jako wyraz nastroju politycznego mas ludowych i zapowiedź nadchodzących wyborów ogólnych.

Wybór prof. dr. Stanisława Starzyńskiego, posła do rady państwa i wiceprezydenta izby poselskiej, w miejsce brata, który mandat złożył, niema głębokiego znaczenia politycznego, choć sejm zyskał w tym nowym pośle siłę niepospolitą, specyalistę w sprawach ordynacyi wyborczej; wybór ten był niejako aktem kurtoazyi rodzinnej, spowodowanej „wyższymi względami“, aby wprowadzić do sejmu znawcę i specyalistę prawa wyborczego.

Również bez większego znaczenia politycznego był wybór w kuryi miejskiej we Lwowie. O mandat stolicy kraju ubiegał się wogóle tylko jeden



Nowi posłowie sejmowi: Prezydent miasta Lwowa Stanisław Ciuchciński.

kandydat, obecny prezydent miasta, p. Stanisław Ciuchciński, który też zdobył prawie wszystkie głosy. Jest bowiem tradycyą we Lwowie, że każdorazowy prezydent miasta jest i posłem na sejm, aby mógł dzielnie bronić spraw miasta. Z tego powodu kandydatura p. Ciuchcińskiego nie spotkała się z zasadniczą opozycyą, zwłaszcza gdy on na zgromadzeniach przedwyborczych oświadczył się wyraźnie za jaknajdalej idącą reformą ordynacyi wyborczej do sejmu. P. Ciuchciński, mieszczanin z krwi i kości, znający jako prezydent najlepiej sprawy i potrzeby Lwowa, będzie też niewątpliwie godnym w sejmie następcą nieodżałowanego śp. Michalskiego i gorliwym orędownikiem potrzeb stolicy kraju.

Natomiast bardzo wybitne znaczenie polityczne mają dwa inne wybory, w kuryach gmin wiejskich. W okręgu turczańskim wybranym został posłem dr. Józef Hanczakowski, radca i naczelnik sądu w Otynii, członek stronnictwa staroruskiego, przeciw kandydatowi ukraińskiemu, b. posłowi dr. Damianowi Sawczakowi. Zwycięstwo dr. Hanczakowskiego było zupełne i stanowcze, przeszedł bowiem ogromną większością, gdy na kontrkandydata padła znikomo mała ilość głosów. Nowy poseł z okręgu turczańskiego jest człowiekiem jeszcze młodym, pełnym energii, a z czasu pobytu we Lwowie jako sybstytut prokuratora, zyskał sobie mir i poważanie z powodu wielkiego taktu. W stosunku do Polaków zachowywał się zawsze poważnie i przychylnie, to też zapewne i w sejmie należeć będzie do tych, którzy unikać będą niepotrzebnego a szkodliwego jątrzenia i waśnienia bratnich narodów.

Bardziej jeszcze znamiennym jest wynik wy-



Nowi posłowie sejmowi: Prof. dr. Stanisław Starzyński.

borów w okręgu zbaraskim, tam bowiem wybranym został włościanin Andruch Szmigielski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ukraińskiej partyi socyalno-demokratycznej. W ten sposób wchodzi po raz pierwszy do sejmu galicyjskiego socyalista. To radykalne usposobienie wyborców okręgu zbaraskiego nie jest czemś przelotnem, gdyż i mandat do rady państwa zdobył tam socyalista ruski, p. Ostapczuk. Zwycięstwo tedy w tych wyborach odnieśli moskalofile i socyaliści, ukraińcy zaś, ruska partya narodowo-demokratyczna, partya najbardziej wrogo przeciw Polakom usposobiona, albo ponieśli klęskę — jak w okręgu turczańskim, albo wogóle z walki zrezygnowali — jak w okręgu zbaraskim.

Nowych posłów czeka udział w pracy nad nową ustawą wyborczą. Rezultat ostatnich wyborów powinien też być przestrogą i wskazówką nietylko dla nich, ale i dla całego sejmu galicyjskiego, powinien być dowodem, że wola ludu jest zgodną w kierunku domagania się reformy wyborczej, opartej na szerokich, szczerze demokratycznych zasadach. Czas najwyższy zerwać z systemem kuryalnym, tak jak z nim zerwano przy wyborach do rady państwa. Woła o to zarówno lud wiejski, ten który posłał pierwszego socyalistę do sejmu, woła mieszczaństwo, które głosowało na Ciuchcińskiego, jawnego zwolennika takiej reformy. O taką zasadę wreszcie przy wyborach sejmowych woła przedewszystkiem nasz interes narodowy. Trzeba bowiem zrozumieć, iż dziś mandaty z kuryi gmin wiejskich we wschodniej Galicyi — mimo pośredniości i jawności głosowania — byłyby dla kandydatów polskich stracone, wobec niesłychanego roznamiętnienia tamtejszej ludności przez ruskich agitatorów. I nawet słynne „sztuczki wyborcze“ mandatów tych uratowaćby nie mogły. Uratować je może jedynie zreformowana ordynacya wyborcza, zreformowana w duchu prawa powszechnego głosowania, — a przy zabezpieczeniu praw mniejszości narodowych. Tego rodzaju projekt nowej ustawy wyborczej przedstawiło dotąd ze strony polskiej jedynie polskie stronnictwo ludowe, wnioski zaś innych stronnictw, jak centrum (ks. Pastora) lub demokratów, są połowiczne i nie odpowiadają żądaniom szerokich warstw społeczeństwa.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portrety trzech nowowybranych posłów sejmowych.



Egzotyczni dyplomaci w Berlinie: Abisyński poseł Dedjametsch Maschascha ze swą świtą w oryginalnych strojach abisyńskich.

Z TYGODNIA

Maluczko, a będziemy mieli Wielki Kraków. Rada miejska uchwali go już w tym lub w przyszłym tygodniu, sejm zgodzi się na niego w tym lub w przyszłym miesiącu, wreszcie Wiedeń da swoją sankcyę w tym lub w przyszłym roku. I będziesz się odtąd krakowiaku nazywać wielkim krakowiakiem, a ty piękna krakowianko wielką krakowianką. Tak wszyscy małym trudem dojdziemy do wielkości.

Początki tej wielkości już posiadamy. Pomijając już to, że chyba na całym świecie niema, stosunkowo do liczby mieszkańców, tylu dwunożnych wielkości co w Krakowie, nikt chyba nie zaprzeczy, że ceny naszych mieszkań są godne nietylko wielkiego, ale największego miasta, że z owemi największemi miastami rywalizujemy skutecznie drożyzną mięsa, chleba, mleczywa, drobiu, owoców, węgla, obiadów w restauracyach, kawy w kawiarniach itd. — jednem słowem, chcemy czy nie chcemy, ale żyjemy na stopę stolic europejskich. Mamy przytem wielkie przepełnienie w szkołach średnich, wielkie dziury na środku rynku, wielkie stawy na nim podczas deszczu; płacimy wielkie podatki, posiadamy wielkie stronnictwa, wielkie agitacye podczas wyborów, „wielki wydział“ kasy oszczędności, wielkie długi gminne, dwa wielkie dzienniki; widzimy wielkie pochody „towarzyszy“, urządzamy wielkie pogrzeby i obchody, pijemy wielkie bomby piwa, miewamy od czasu do czasu wielkie powodzie, posiadamy wielki apetyt na synekury i wielki pociąg do próżniactwa, prowadzimy wielkie borby o posa... przepraszam: o zasady, mamy wielki (Grand) hotel, wszyscy chcemy mieć wielkie dochody i marzymy o wielkich posagach.

Chyba dość tych faktów do uzasadnienia, że mamy wielkie podstawy, aby zostać Wielkim Krakowem.

A jednak nazwa ta mnie razi. Jest ona prostem małpowaniem. Wymyślono Gross-Wien, więc ma być i Gross-Krakau. Sensu w tem za grosz niema. Wiedeń byłby wielki i tak, choćby nie przyłączono do niego przedmieści. Kraków wielkim nie będzie, choćby połączyć z nim Liszki, Skawinę, Wieliczkę, Bochnię, Chrzanów i Wadowice. Wielkie miasto w dzisiejszem pojęciu, to przynajmniej miasto półmilionowe. Musiałby więc Kraków jeszcze przyłączyć do siebie Białę, Żywiec, Nowy Targ, Nowy Sącz, Jasło, Tarnów, Rzeszów, Jarosław, Przemyśl i... Lwów, aby zostać wielkiem miastem. Powie ktoś na to: ależ tu nie idzie dosłownie o wielkość, tylko o to, że Kraków będzie powiększony. Wiem o tem dobrze, ale nazwa zawsze jest śmieszną i nie odpowiada rzeczy. Mógłby Stanisławów przyłączyć do siebie przedmieścia i nazwać się wielkim Stanisławowem — wkrótce w ten sposób rodziłyby się: Wielki Tarnów, Wielka Wieliczka itd. Podgórze, przyłączywszy do siebie Płaszów, stałoby się Wielkiem Podgórzem. To jedno. Po drugie w tem rozumieniu wielkości przez wcielenie gmin sąsiednich, Kraków już oddawna jest Wielkim Krakowem, boć przecie Kazimierz, Kleparz, Piasek były dawniej odrębnemi gminami. Każde większe miasto wciela w siebie co pewien czas przyległe gminy. Gdyby Kraków rozwijał się coraz więcej, to z czasem powstałyby nowe przedmieścia, które czekałyby znów na przyłączenie. Jakżeby wtedy Kraków nazwać było potrzeba? A co będzie jak Kraków wcieli Podgórze, bo ten los go nie minie? Musiałby wówczas nazywać się chyba Olbrzymim Krakowem.

Z przyjemnością przychodzi mi stwierdzić, że tej nazwy Wielki Kraków nie używa projekt komisyi. Mówi on tylko o „rozszerzeniu granic Krakowa“, o „przyłączeniu do miasta gmin i obszarów dworskich“, o jednej gminie „pod wspólną nazwą: stołeczne królewskie miasto Kraków“. Więc mówimy i piszemy o „powiększonym“, „rozszerzonym“, a nie o „wielkim“ Krakowie. D l a n a s w innem znaczeniu on zawsze będzie wielkim, choćby nietylko Półwsie Zwierzynieckie nie chciało się z nim połączyć, ale choćby nawet oderwał się od niego Piasek, choćby Szlak lub Pędzichów utworzyły osobne rzeczpospolite. Będzie wielkim swą przeszłością, swymi murami, swym Wawelem, grobami królewskimi, swymi zabytkami, pamiątkami. Tej wielkości nikt mu nie odejmie, a czemże wobec niej jest wielkość, polegająca na przyłączeniu Czarnej Wsi z Kawiorami?

O tę prawdziwą wielkość pod pewnym względem czyni i Lwów zabiegi. Naturalnie nie może być mowy, aby kiedykolwiek zrównał się z Krakowem. Stolica Polski a stolica Galicyi, to spora różnica. Ma Lwów wprawdzie piękne wspomnienia historyczne, ale gdzie mu do tych wspomnień, które Kraków czynią wielkim dla narodu polskiego. Jedna Warszawa ma prawo powiedzieć: „urodziłam się później, żyłam skromnie, kiedy w Krakowie koncentrował się cały majestat Rzeczpospolitej, ale w ostatnich wiekach, w dobie rozkładu i upadku państwa, a potem w czasach porozbiorowych wysunęłam się na czoło narodu; — moje dzieje, bóle, walki, poświęcenia, to dzieje, bóle, walki, poświęcenia całego narodu“. Pomimo to Lwów ma doniosłe znaczenie strażnicy, wielkiej placówki polskości na Wschodzie. I pięknie z jego strony, że to swoje stanowisko pragnie utrzymać i wzmocnić. Dowodem tego szlachetne usiłowania o przechowanie pamiątek, o stworzenie nowych ognisk kultury. Z przyjemnością czytaliśmy w „Słowie Polskiem“ (artykuł p. wiceprezydenta Rutowskiego), że istnieje pod tym względem cały program, że toczą się starania o odzyskanie dla Lwowa „przesławnych arsenałów“, o nabycie kamienic w rynku i pałacu Sobieskich, o wzięcie w opiekę miasta zbioru Gwalberta Pawlikowskiego, że do tego programu należy pozyskanie zbiorów Rapperswylskich „skoro nadejdzie godzina powrotu ich do kraju“ i założenie „galeryi miejskiej“.

O tę galeryę a raczej o zakupno zbioru Jakowicza, toczy się dalej zawzięta polemika w prasie lwowskiej. Wspomniany artykuł p. Rutowskiego doleje zapewne oliwy do ognia. Piórem ciętem, masakrującem przeciwników, usiłuje p. R. obalić czynione temu zakupnu zarzuty i udowodnić, że zrobiono dobry interes, że zbiory mają wysoką wartość. Do polemiki wmięszali się prof. Antoniewicz i malarz Szymanowski, zapatrujący się całkiem inaczej na tę sprawę, niż p. Rutowski. Myśmy wypowiedzieli już swoje zdanie i mimo świetnej „obrony“ p. Rutowskiego zmienić go nie możemy. Za sto tysięcy nie nabywa się kilkuset obrazów (nie licząc innych zbiorów), pomiędzy którymi są dzieła wielkich mistrzów. I nie rozczula nas twierdzenie, że jeżeli jakiś tam obraz „nie jest Poelenburg, to prawie pewnie Uytenbrock“, bo „prawie pewnie“ to jeszcze nie pewnie, a wątpimy czy posiadanie nawet prawie pewnego Uytenbrocka wiele przyniesie pożytku i sławy galeryi miejskiej we Lwowie. Przyznamy się wreszcie ze wstydem, że o Uytenbrocku pierwszy raz słyszymy i sądzimy, że gdyby p. R. wymienił nie Uytenbrocka, ale Van Houtena, Amsterdamburga, to zrobiłoby to samo wrażenie.

Dość, że kłócą się znawcy sztuki“, co mi przypomina nie anegdotkę, ale prawdziwe zdarzenie. Przed niewielu laty urządzono w Krakowie wielką wystawę sztuki. Przybyła na nią pewna ekscelencya. Więc pewien profesor sztuki, znawca patentowany, przyjął na się obowiązek cycerona. Zwracał uwagę ekscelencyi tylko na rzeczy wybitniejsze, więc też nie zatrzymał się nawet koło pewnego krajobrazu, pendzla mało jeszcze wówczas znanego malarza. Zdarzyło się, że pana profesora gdzieś zawołano, wyręczał go zatem w dalszem opowiadaniu ekscelencyi pewien znakomity artysta. „A teraz (powiedział w końcu) zaprowadzę Ekscelencyę przed perłę całej wystawy, przed prawdziwe arcydzieło“. I zatrzymał się przed owym krajobrazem, na który „znawca sztuki“ nie chciał nawet zwrócić uwagi.

Arcydziełem, wprawdzie nie sztuki, ale dowcipu, była ucieczka hajdamaki Kratta. Bez jego jednej osoby proces ruski w Wiedniu stracił całkiem charakter, jaki mieć powinien. Oskarżeni wszystko zwalali na nieobecnego, który, nawiasem mówiąc, okazał się zwyczajnym bandytą, gdyż brał udział w napadzie rozbójniczym na jakiś dwór w Królestwie. Młodzi „bohaterowie“ ruscy przyjęli taktykę wyparcia się wszystkiego: żaden z nich nie bił prof. Winiarza, żaden nie krajał portretów, a nawet ci, co się przyznali w śledztwie do stawiania barykad, twierdzili, że przyznanie się ich było jedynie grzecznością dla sędziego śledczego. Panowie „obrazoburcy“ okazali się pospolitymi tchórzami, nieposiadającymi odwagi przyjęcia na siebie odpowiedzialności za swe czyny i „ideały“. Obrońca ich dr. Rode, wymyślający na Polaków dla zrobienia sobie reklamy, zgodził się w końcu na to, że klienci jego działali pod wpływem... głupoty. Był to z jego strony manewr dość zręczny, jak i sprytnem było twierdzenie, iż napad na uniwersytet był dziełem rewolucyonisty Kratta, urządzonym poza plecami ogółu ruskiego. Wprawdzie wiemy, że cały „ogół ruski“ solidaryzował się z napastnikami, że mianował ich „bohaterami“, że ich obrzucał kwiatami i urządzał dla nich owacye, ale co to szkodziło p. Rodemu kłamać, kiedy mu to było na rękę. Dodajmy do tego dżentelmeństwo p. prokuratora, który przyznał młodym hajdamakom „motywy idealne“, a nie będziemy się dziwić, że z wielkiej chmury spadł mały deszcz, że zaledwie kilku bohaterów zostało zasądzonych na jeden miesiąc więzienia. Co innego, gdyby który z nich bez organizacyi, bez premedytacyi, ot pod wpływem np. alkoholu, zrobił zwyczajną burdę na ulicy, zwymyślał dajmy na to policyanta, oderwał mu guzik, lub zrobił dziurę w rękawie — no, toby miał czas przez jakie pół roku rozmyślać nad skutkami swej strasznej zbrodni.

Ot np. taki Michał Band, handlarz koni z Oświęcima. Był tam komuś winien kilkaset marek i nie chciał płacić — co gorsza, kiedy zobaczył czyhającego na niego w Krakowie egzekutora z wierzycielem, rzucił się w ubraniu do Wisły, aby się ratować ucieczką. Taka zbrodnia nie ujdzie kary. Cała flotyla popłynęła za uciekinierem, schwytała go, odebrała mu pieniądze i zaprowadziła w tryumfie na policyę. Siedzi więc biedak i oczekuje wyrokn za chęć ucieczki przed wierzycielem...

Bywają jednak zbrodnie nie karane. Oto p. K. Hoffman napisał strasznemi częstochowskiemi wierszami... życiorys Mickiewicza. Nietylko, że mu się za to dotychczas nic nie stało, ale czytałem niedawno w „Kuryerze Warszawskim“, że „inteligencya“ w Otwocku, czy Nałęczowie, uprosiła szanownego autora, aby jej ten „występek literacki“ głośno odczytał. No — musiała to być inteligentna... inteligencya! Należałoby ją wypchać.

Ofiarą innego rodzaju zbrodni padł Conan Doyle, autor słynnych powieści kryminalnych. Człowiek ten, który tak genialnie wykrywa zbrodniarzy, nie umiał ochronić się przed ciosem, wymierzonym na niego przez jakąś wyrafinowaną zbrodniarkę. Krótko mówiąc: ożenił się. *Sit ei uxor levis!* — niech mu będzie lekką... żona.

Kącik humorystyczny.

Nic nie zaszkodziło.

Do starosty małego miasta czeskiego wezwano rabina miejscowego, gdyż w modlitwie odmawianej co soboty w bożnicy znajduje się ustęp, w którym żydzi błagają Boga, aby zniszczył wszystkich katolików, pogan i wogóle nie-żydów. Na pytanie starosty, czy to jest prawdą, potwierdza rabin, że tak jest istotnie.

— To ja panu nie pomogę — mówi starosta — i musisz pan jako rabin starać się o to, aby ten ustęp opuszczono, bo to przecież nie uchodzi, ażebyście wy nas tak poprostu przeklinali.

— Nu — mówi rabin — to jest naprawdę z naszej strony nieładnie, ale pan starosta może nam i ten ustęp zostawić z całym spokojem.

— Jakto? — pyta starosta.

— Nu, widzi pan — mówi rabin — my już się tak modlimy więcej jak tysiąc lat, i do dzisiejszego dnia nic to nam nie pomogło!

W pewnem mieście.

Obcy (wieczorem w restauracyi). Cóż to za krzyki tam na drodze? Kelner! Czy tu nie ma policyi?

Kelner: Owszem jest, to w ł a ś n i e p o l i c y a s i ę b i j e...

Zachęcające.

— Masz pan dużo przyjaciół?

— Naturalnie, każdy, kto mi pożycza pieniędzy, jest moim przyjacielem. Czy chcesz pan być także moim przyjacielem?



Międzynarodowe wyścigi kolarzy.

Bardzo wielkie zainteresowanie towarzyszyło dwudniowym międzynarodowym wyścigom cyklistów i motorzystów, urządzonym we Lwowie przez tamtejszy klub sportowy na znanym, doskonałym torze za rogatką stryjską.

Klub cyklistów i motorzystów we Lwowie, zorganizowany przed rokiem niespełna, rozwija się zadziwiająco pięknie i dzięki energii prezydyum swego, pp. radcy dr. Bersona prezesa, oraz sekretarza Jaworskiego, przyczynił się w znacznej mierze do ożywienia się pięknego i pożytecznego sportu kolarskiego. W gronie swych członków zszeregował klub bardzo wielu zamiłowanych zwolenników jazdy na kole, którzy każdej prawie niedzieli i święta urządzają wycieczki w okolice Lwowa.

Punktem kulminacyjnym tegorocznego sezonu były wyścigi międzynarodowe w ubiegłą sobotę i niedzielę, przy udziale kilku bardzo dobrych jeźdźców, przybyłych z Warszawy, Wiednia, Gracu i Lincu. W oba dni, a zwłaszcza w niedzielę, przypatrywały się interesującym zapasom tłumy publiczności. Bo Lwów bardzo lubi tego rodzaju widowiska i przenosi je nad wszystkie inne, nawet nad wyścigi konne. I gdy zainteresowanie wyścigami konnymi z każdym rokiem maleje, tor cyklistów gromadzi na swych wyścigach coraz liczniejsze tłumy.

Przebieg zapasów był nader interesujący, zwłaszcza drugiego dnia, gdy przyszło do rozstrzygającej walki o mistrzostwo. O tytuł mistrza na rok 1907/8 walczyli ze sobą: Warszawiacy pp. Kaim i Embe, obaj cieszący się opinią doskonałych jeźdźców w Królestwie Polskiem, Wiedeńczyk Pührer, tegoroczny mistrz austryacki drogowy na przestrzeni 50 klm. i zwycięsca w tamtegorocznych zapasach o mistrzostwo na torze lwowskim, wreszcie najlepszy obecnie lwowski cyklista i ulubieniec tamtejszej publiczności p. Pintscher. Trzy biegi miały stanowić o zwycięstwie. Przypadło ono Warszawiakowi p. Kaimowi, który zarówno w tym biegu, jak w innych okazał się jeźdźcem ogromnie wytrwałym, sprężystym i nadzwyczajnie zgrabnym. Wynik głównego biegu, zwycięstwo Warszawiaka nad tamtegorocznym mistrzem Wiedeńczykiem Pührerem, powitała publiczność głośnymi objawami radości i urządziła sympatycznemn go-



Fot. M. Münz we Lwowie.
Międzynarodowe wyścigi cyklistów: Ulubieniec Lwowa, doskonały cyklista p. Pintscher.



Fot. M. Münz we Lwowie.
Międzynarodowe wyścigi kolarzy: Motorzysta inż. Rubczyński ze Lwowa.



Fot. M. Münz Lwów.
Międzynarodowe wyścigi kolarzy: Grupa uczestników międzynarodowych wyścigów kolarzy. Zdobywca mistrzostwa na rok 1907/8 p. Kaim z Warszawy (X).

ściowi „Syreniego grodu“ bardzo głośną i serdeczną owacyę.

„Mistrz“ Kaim, opasany szarfą, okrążył tor wśród huraganu oklasków i wymachiwania tysięcy kapeluszy i studenckich czapek, a tu i owdzie



Fot. M. Münz Lwów.
Między narodowe wyścigi kolarzy: Radca dr. Seweryn Berson, prezes klubu cyklistów i motorzystów.

padały nawet z trybuny róże. Nakoniec rozentuzyazmowana młodzież wyniosła „mistrza“ na ramionach po za obręb toru.

Obok wyścigu o tytuł mistrza był w programie obu dni, szereg cały bardzo interesujących „biegów“. Do tych należał np. wyścig na tandemach, gdzie palmę zwycięstwa zdobyli dzielni Warszawiacy pp. Kaim i Embe. Nie udało im się jednak pobić rekordu, postawionego w zeszłym roku na torze lwowskim przez wiedeńskich cyklistów Pührera i Hollego.

Jeszcze piękniejszym i jeszcze więcej interesującym był wyścig na rowerach z prowadzeniem motorów. W tym rodzaju wyścigów są Warszawiacy wprost niezrównani, to też pan Kaim (rower) i Drac (motor), pędząc chyżo jakby zrośnięci ze sobą, wyprzedzili innych o pół okrążenia toru, a nawet o całe okrążenie.

Oprócz cyklistów walczyli ze sobą i motorzyści, a między tymi okazał się najlepszym inżynier Rubczyński, którego brawurowa jazda dorównywała w zupełności zeszłorocznemu zwycięscy w wyścigach motorów, p. Szybowiczowi z Przemyśla.

Ogółem organizacya dwudniowych wyścigów nie pozostawiała nic do życzenia. Przedewszystkiem zaś obeszło się w tym roku — na szczęście — bez wypadku.

Salon sztuki „Ars“.

Przed trzema laty założył w Krakowie znany zaszczytnie literat i powieściopisarz p. Zygmunt Sarnecki salon sztuki „Ars“, pragnąc w ten sposób ułatwić naszym artystom zbyt ich obrazów, oraz rozwinąć wśród jak najszerszych kół zamiłowanie do sztuki polskiej. Salon „Ars“ mieścił się początkowo przy ulicy Brackiej, obecnie p. Sarnecki przeniósł go do pięknego, obszernego lokalu, przy zbiegu linii A-B w Rynku i ulicy św. Jana. Sala tam bardzo obszerna, długa na 14 mtr., światło doskonałe, oświetlające należycie w różnych porach dnia wszystkie ściany i sztalugi ruchome. Urządzenie jest prawdziwie europejskie, wygodne i ze wszechmiar estetyczne.

W lokalu tym zamierza p. Sarnecki urządzić wystawy zbiorowe naszych mistrzów i wybitniejszych artystów. Obecnie jest tam urządzona wystawa zupełnie w Krakowie nieznanych najświeższych dzieł prof. Leona Wyczółkowskiego. Na wystawę tę składają się między innymi: autoportret na koniu, wśród stepowego krajobrazu, arcydzieło plastyki i nastroju, dalej portret znakomitego powieściopisarza Żeromskiego, portret artystki dramatycznej p. Natalii Siennickiej, kilka t. z. „aktów“ kobiecych, z pośród których dwa zachwycające niezmiernie artystycznym układem, blaskiem świetnie oświetlonych ciał i wspaniałem wykończeniem draperyj, dalej kilka obrazów z kwiatami, odtworzonymi ze znaną u tego artysty maestryą, parę krajobrazów tatrzańskich i wspaniale odtworzony Wawelski Zamek w dzień zimowy, jedno z najznakomitszych dzieł mistrza. Kilka prac prof. Wyczółkowskiego wystawionych w salonie „Ars“ znalazło już nabywców.

Prócz dzieł prof. Wyczółkowskiego znajdują się w salonie „Ars“ obrazy całego szeregu innych bardzo wybitnych polskich malarzy, a niezwykła przystępność cen sprawia, że obrazy te łatwo znajdują nabywców. Stąd też wpływ salonu i jego popularność rośnie coraz bardziej.

Także rzeźba znalazła gościnę w salonie p. Sarneckiego, reprezentują ją: prof. Laszczka, Szczepkowski i Szczygielski.



Fot. M. Münz, Lwów.
Międzynarodowe wyścigi kolarzy Sekretarz klubu cyklistów i motorzystów p. Jaworski.

Szczera wdzięczność i uznanie należy się p. Sarneckiemu za urządzenie tego prawdziwie europejskiego salonu. Bo i do podniesienia kultury artystycznej w Krakowie on się nie mało przyczyni, jako wystawa dzieł pierwszorzędnej wartości, i będzie pomocnym naszym artystom-malarzom w pozbywaniu ich tym, którzy się sztuką interesują.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne przedstawiające wnętrze salonu „Ars“.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Salon sztuki »Ars«: Wnętrze salonu sztuki »Ars«, wraz z właścicielem p. Zygmuntem Sarneckim.

Z lwowskiego bruku.

(Kto miał szczęście uczestniczyć w katastrofie? — Mój pech w katastrofach. — Szybki zarobek w pocie czoła. — Nawet gdybym był... westchnienie pechowca. — Ile kolej płaci za zęby? — Gość w kawiarni. — Gdzie komisya? — Słówko o stanisławowskiej dyrekcyi kolejowej).

Przez cały tydzień zajmowaliśmy się katastrofą kolejową pod Bukaczowcami i tymi, którzy mieli szczęście w niej uczestniczyć. Powiadam „szczęście“, bo ja do tych katastrof stanowczo nie mam szczęścia. Proszę sobie wyobrazić, że tym właśnie pociągiem, który się wykoleił za Bukaczowcami, miałem wracać z Worochty do Lwowa i już nawet rozpisałem był listy do znajomych i krewnych, że wracam we środę o godzinie 9-tej wieczorem. Tymczasem pech mój chciał, że mnie telegraficznie wezwano na Bukowinę na środę i uniknąłem tak pięknej sposobności zarobienia kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset tysięcy koron sprawiedliwie i w pocie czoła, ale krótko i pewnie. Tyle jest tych katastrof kolejowych w roku w naszym kraju, ja sam tyle się włóczę po kolejach galicyjskich i ani razu nie udało mi się zarobić coś na takiej podróży galicyjskiej! Ale ja znam mój pech i pocieszam się tem tylko, że gdybym nawet był przypadkiem jechał we środę krytycznym pociągiem, byłbym wyszedł z katastrofy zdrów i cały. Ja powiadam, że człowiek, który ma pecha, powinien sobie przywiązać do szyi automobil, albo dramat, odznaczony na konkursie gal. Wydziału krajowego i machnąć się do stawu w parku Kilińskiego. Proszę tylko pomyśleć: jakaś śpiewaczka niemiecka, która w katastrofie straciła parę zębów, otrzymała od skarbu kolejowego kilkaset tysięcy! Za te pieniądze — jak potem obliczono — mogła sobie wstawić pięćset nowych zębów, nietylko w gębie, ale wszędzie, a nadto kupić sobie trzy kilkupiętrowe kamienice, każda o czterech frontach. A inny, co ma zęby i niema co w zęby włożyć, wozi je po kolejach latami, naraża je na galicyjski system kolejowy i marzy w duchu o jakiemś kolejowem bumbum, a gdy przyjdzie porządna katastrofa, to on wtedy gdzieś cicho siedzi na wsi, w innej stronie świata.

Szczęśliwsi ode mnie siedzą już w domu przy spuszczonych storach i zamkniętych na klucz drzwiach i liczą z ołówkiem w ręku, co zrobią z pieniądzmi, zarobionymi na skarbie kolejowym. Taki, co nogę złamał, będzie mógł sprawić sobie nową nogę z 14 karatowego złota i kupić sobie wykwintny samochód, aby nie chodzić piechotą.

Jeden z pasażerów krytycznego pociągu wyszedł z katastrofy cało i był kontent. Wróciwszy do Lwowa udał się prosto do kawiarni Europejskiej, gdzie opowiadał obecnym o szczegółach wypadku. Opowiadał o wszystkich rannych i o przyszłych pretensyach ich do skarbu kolejowego.

— No a ten — odzywa się jeden z obecnych — a ten, który dostał napadu szału?

— O tym nawet nic nie słyszałem, o, ten pewnie dostanie grubo, ale wiecie panowie, że i ja, tylko nie śmiejcie się ze mnie, czuję także jakiś nerwowy ból głowy, oj, w tej chwili naprzykład odzywa się — kelner, płacić!

Zapłacił i pobiegł do lekarza, aby mu wystawił świadectwo, że ma... szał. Szał na zarobek.

Inny znów pasażer od czwartku, a więc już 7 dni leży w łóżku i z trwogą konstatuje, że rany się goją, to też z wielką niecierpliwością oczekuje przybycia komisyi kolejowo-lekarskiej, która powinna się spieszyć, jeżeli chce jeszcze coś zobaczyć.

Takich wypadków jest więcej. Mowa tu oczywiście tylko o symulantach, którzy chcą wyzyskać dobrą sposobność zarobienia na katastrofie. Są naturalnie ludzie prawdziwie unieszczęśliwieni, na całe życie okaleczeni, są i zabici. Bo kolej galicyjska potrafi się wykoleić i nie bawi się w żarty. Szczególnie dyrekcya stanisławowska ma znaną wprawę w katastrofach i znane szczęście. Najmłodsza co do lat, ale najbogatsza w wypadki. Ogólny, centralny system oszczędnościowy pomaga jej w pracy — resztę robi kierownictwo stanisławowskie, w którem — co zresztą jest głośnem — rządzi kobieta, a mąż podpisuje lewą ręką kawałki, prawą nosząc tren u sukni żony. Stanisławowska dyrekcya kolejowa ma też tymi dniami stracić głowę. Z natury rzeczy trudno jest to stracić, czego się nie miało, ale „widomy“ dyrektor ma pójść w odstawkę. Pomimo, że wiedeński inspektor centralny w tym tygodniu skonstatował, że progi są dobre a katastrofa nie powinna była nastąpić. Ale nieraz dzieje się to, co nie powinno. Np. sama stanisławowska dyrekcya nie powinna istnieć wcale, albo istnieć inaczej. Albo np. te olbrzymie malwersacye z tamtego tygodnia świadczą także o należytem funkcyonowaniu dyrekcyi i czujności jej kierowników. Ale pieniądze pieniądzmi i można o nich mieć rozmaite pojęcie, o ile chodzi o „moje twoje“. Inna rzecz to życie ludzkie. Za drogie pieniądze (austryackie koleje są najdroższe!) ma pasażer prawo dojechać cało do celu. Pomijam już przyjemności podróżowania i przesiadania, o których można pisać tomy, ale to zakończenie podróży, to całkiem w guście stanisławowskiej dyrekcyi kolejowej. Tak, tak panie radco rządu Festenburg, życie ludzkie to nie tren żony, albo wolontaryusz kolejowy, którego można zastąpić innym np. muzykalnym. Tak, tak, panie radco. A teraz życzę panu szczęśliwej podróży, notabene bez wykolejenia. *Kl.*

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

15 Ciąg dalszy.

— Co? stary sługa hrabiego Konstantynowa, ojca małego Szaszy? Święty Boże! skąd się tu wziąłeś starcze?

— Porwał Prusak, łotr i zamknął, chce mnie zgubić.

— A to i mnie także zamknięto, aby zabić, bo nie chcę im Szaszy wydać.

— Znasz Szaszę? Święty Boże! Gdzie to dziecko?

— Bądź spokojny starcze, ono pod opieką uczciwych ludzi.

— Boga Rodzico Przeczysta, dzięki Ci za to.

— Ależ cię to związali. Poczekaj; najpierw musisz wstać. Rozetnę te sznury.

Fabrequette połamał dwa ostrza scyzoryka, zanim zdołał porozcinać grube, twarde postronki konopne, którymi starcowi powiązano ręce i nogi. Wreszcie dokonał dzieła. Starzec podniósł się, stanął, ale zachwiał się i runął na podłogę.

— Hej, stary, nie róbcie głupstw. Tu niema doktora, ani apteki. Stary! Wstańże przecie. Hej! Szasza was woła, Szasza! słyszycie?

Trofimowicz rozwarł oczy i zaczął powtarzać: Szasza! Szasza! ale dźwignąć się nie zdołał.

— A do dyabła, co ja tu pocznę? Aha! jest, jest coś, co go pokrzepi. Jaki ja mądry, żem kupił absyntu po drodze, gdym szedł do tej jaskini łotrów. O poczciwy doktorze, jakiś ty był mądry, żeś mi dał kilka franków. Wymaluję twój portret i rozsławię twoje imię po świecie, na wszystkich wystawach we wszystkich częściach świata. Hej! stary! napij się, pokrzep! No, otwórzcie gębę. No, przecież. Więcej! łyknij dobrze. Tak. No, widzisz, że to pomaga. Chwała Bogu! dźwiga się, no oprzej się na mnie, a silnie, nie bój się, ja się nie złamię. Tak, jeszcze, jeszcze. No, dobrze! A! już stanął. Oprzej się na mnie, wyciągnę cię po drabinie z tej nory. Chodź, pomału. Dobrze. Stań na stopniu, ja cię będę podpierał. Trzymaj się drabiny. Widzisz ją? co? świecę ci stoczkiem. Dobrze się trzymaj.

Trofimowicz, jak posłuszne dziecko, spełniał co mu Fabrequette rozkazywał i dostali się wreszcie do kwatery malarza. I tu było ciemno, ale bodaj powietrze było lepsze, nie tak grobowe, nie tak piwniczne, bez stęchlizny podziemia.

Fabrequette zamknął drzwi od lochu, klucz wyjął, zdjął z siebie surdut, zwinął go, czyniąc zeń poduszkę dla starego.

— Teraz połóżcie się wygodnie, głowę oprzyjcie na poduszce. Odpoczywajcie. Może zaśniecie teraz wygodniej; to was pokrzepi.

Istotnie stary położył się wygodnie i zasnął. Związany, rzucony na wznak, męczył się, a jeżeli spał, to snem raczej dokuczliwym, bolesnym, niż pokrzepiającym. Teraz, uwolniony z więzów, mając pod głową surdut poczciwego malarza, zasnął istotnie snem pokrzepiającym, zwłaszcza orzeźwiony absyntem.

Fabrequette, wziąwszy klucz, podszedł pod owe drzwi żelazne, w których odkrył zamek i zaczął dobierać klucza do niego. Czynił to cicho, ostrożnie, cierpliwie, aż wreszcie właściwy klucz dobrał. Wykręcił nim w zamku i drzwi się otwarły, a przez nie dostała się smuga mrocznego światła. Nadsłuchuje. Cisza zupełna. Spogląda na zegarek; była już godzina jedynasta.

— Co teraz robić? Czy puszczyk jest w domu, czy go nie ma? Hm! możnaby łotra udusić, bo nas dwóch. Ba! ale czy nie ma tu jeszcze innych rzezimieszków w tej jaskini? A stary taki osłabiony, śpi. Lepiej zamknę, poczekam aż się wyśpi, snem pokrzepi.

Zamknął, fajeczkę zapalił, stoczek zgasił i mruczał sobie wesoło. Łobuzowi lekkomyślnemu starczyło to wszystko, co odkrył, za pociechę a znalezienie towarzysza napełniało go nawet radością. Ale i wątpliwości nasuwać mu się zaczęły. Otworzył drzwi, to prawda, ale co dalej? dokąd iść? jak uniknąć spotkania? Gdyby tylko sam kamerdyner był w domu, byłoby pół biedy. Obaj z Trofimowiczem daliby mu radę, ale jeżeli są jeszcze inne draby? Ha! co Bóg da!

Rozważał, myślał, marzył, aż zasnął obok starego towarzysza niedoli.

Spi zrazu spokojnie, godzinę jedną i drugą, aż zaczyna mu się śnić, że się kąpie w zimnej wodzie, chce wyjść z tej kąpieli, a nie może, bo woda ścina się w lód i chwyta go w lodowe kleszcze. Wysila się we śnie, by się wyrwać z uścisków lodu i budzi się wreszcie ze snu niemiłego. Spał bez surduta, więc było mu zimno i taki sen go trapił.

Zbudziwszy się i ocknąwszy zupełnie, zaczął się trzeć po całem ciele rękami, łyknął absyntu, zaświecił stoczek i patrzy na zegarek. Była już godzina trzecia.

— A tom sobie pospał! A co stary robi? Śpi? E, już się dźwignął. No panie Rosyaninie, lepiej już, co?

— No tak, lepiej. Spróbuję wstać i chodzić.

Wstał. Rzeźko stąpał. Był to człek rosły, silnie zbudowany. Popatrzywszy teraz na niego, ucieszył się Fabrequette.

— No, ten człowiek i niedźwiedziaby zadusił, a nie dopiero takiego puszczyka, jak ten łotr kamerdyner. Górą nasza.

Nie bardzo mogli zgadać się z malarzem, bo Trofimowicz umiał zaledwie kilkadziesiąt słów francuskich, które go się czepiły śród wielu lat służby, gdy się francuskiej rozmowie swych państwa przysłuchiwał. Pomagali sobie gestami i zrozumieli o tyle, o ile było potrzeba do wspólnej pracy nad wydobyciem się z tej śmiertelnej niewoli. To też Fabrequette nie mógł się dowiedzieć, po co Mikołaj przybył do Paryża, a jedynie to wyrozumiał, że biedny starzec przez półtora dnia leżał w lochu skrępowany.

Widząc, że starzec odzyskał siły, tłómaczył mu jak mógł, w jaki sposób ma pomagać w dalszej pracy nad ucieczką z tego więzienia. Mikołaj pojmował i ujawszy te silne sznury, któremi był skrępowany, groził nimi wrogom, robił z nich pętlicę i okazywał, że chciałby ich powiesić. Aż się roześmiał przytem radośnie. Fabrequette pozwijał owe sznury, powiązał w silne węzły i opasał się nimi, jak strażnik pożarny. Potem cicho skradali się ku drzwiom. Malarz włożył klucz, otworzył, wychylił głowę. Olśniła go smuga światła dziennego, acz mroczna. Obaj stanęli przy drzwiach uchylonych, aby się oswoić ze światłem, potem Fabrequette wysunął się na palcach w ów mroczny korytarzyk, przez który go kamerdyner do ciemnicy zwabiał. Cisza była wszędzie. Idą na palcach, jeden za drugim, zdjąwszy obuwie. Na końcu korytarzyka były jakieś schodki, na dół wiodące, a na samym dole drzwi, dotykające jakiegoś dziedzińca, bo przez szybkę okratowaną dochodziło światło słoneczne.

Już mieli wstąpić na schody, gdy usłyszeli rozmowę. Fabrequette natężył słuch i wzrok. Dostrzegł drzwi też same, przez które go tu kamerdyner z jadalnego pokoju prowadził.

— A więc rozmawiają! Aha! głos puszczyka. Co? mówią po niemiecku. O święci patronowie malarstwa i malarzy, dzięki wam, żeście mi pozwolili dwa lata przebywać na studyach w Monachium. Nie marzyłem nawet o tem, że mi się to na co przyda, iż się tam po niemiecku nauczyłem. Co to? Święty Boże! Straszne rzeczy!

I słucha malarz z natężeniem największem. A było czego słuchać!

— To było niepotrzebne — mówił głos kamerdynera. Sędzia nie zastrzeli kapitana, tylko wyzwie go na pojedynek, a w pojedynku zwycięży prawdopodobnie kapitan. Oczywiście będzie szukał zemsty i może ci wściekle dokuczyć, zanim wyjedziemy, a może nawet nas wszystkich zgubić. (C. d. n.)

Zagadka do nagrody.

Szarada.

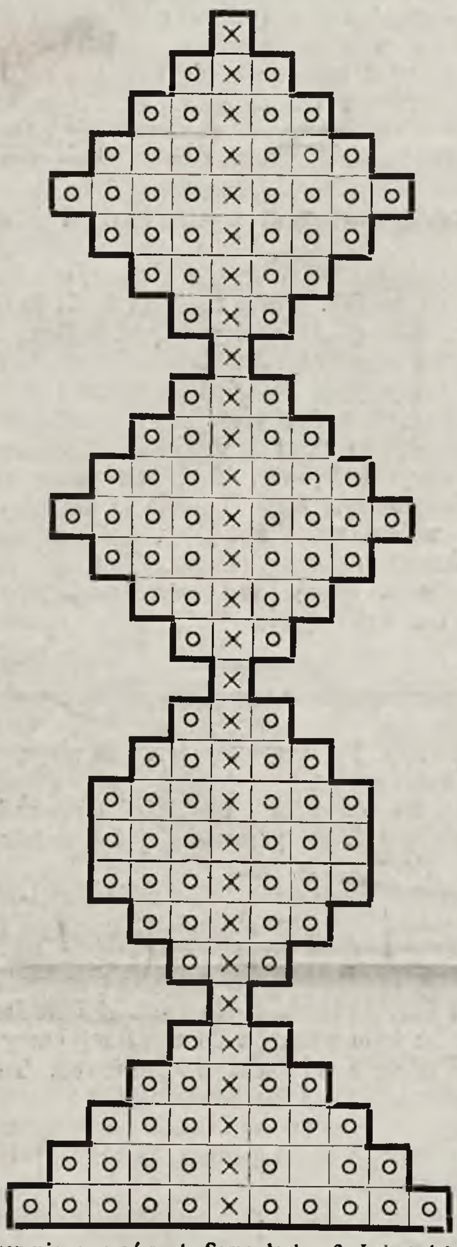
Ułożył Stefan Spunda ze Skały.

Pierwsza, czwarta nieraz ciężka,
Koi ją nadzieja,
Druga, czwarta bardzo długa,
Zwłaszcza dla złodzieja.
Trzecia, czwarta choć niewielka
Służy za mieszkanie;
Całość — imię jest dziewczynki
Zgadnij więc mój mój panie.

Kryptogryf.

Ułożył J. Osypowicz w Stryju.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżków, czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły znane polskie przysłowie.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Imię żeńskie. 3. Jezioro w Polsce. 4. Ballada Odyńca. 5. Dział matematyki. 6. Miasto w Ameryce. 7. Gatunek psa. 8. Zwierzę. 9. Miasto w Galicyi. 10. Przyprawa korzenna. 11. Wódz rzymski. 12. Inaczej kasarnie. 13. Lekkie drzewo. 14. Ptak. 15. Zwierzęta wodne. 16. Prowincya w Hiszpanii. 17. Bez czego uczeń obejść się nie może. 18. Sławny poeta włoski XIX. wieku. 19. Imię męskie. 20. Zaimek wskazujący w liczbie mnogiej. 21. Spółgłoska. 22. Zwierzę wodne 23 Miasto lub rzeka w Galicyi. 24. Rycerz niemiecki. 25. Zbiór żywych zwierząt. 26. Inaczej poddanie się.

Logogryf.

Z sylab: A, bu, cye, de, des, do, e, fa, ho, im, ka. ko, ko, łat, łaj, mi, mo, na, na, nom, no, pet, ró, zor, że — ułożyć 8 wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, dadzą dwa nazwiska. Jedno znakomitego pianisty i kompozytora polskiego, drugie utalentowanego poety i ulubieńca młodzieży.

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny malarz polski. 2. Kwiaty. 3. Siła. 4 Urzędnik gospodarczy. 5. Bohaterka z dramatu Szekspirowskiego. 6. Imię męskie. 7. Drzewa. 8. Król as ryjski.

Kwadrat magiczny.

(Ułożył L. Wygrzywalski Kraków.)

Słowa ułożone z podanych liter czytane jużto poziomo, jużto pionowo z góry, są odpowiednio te same.

a	a	a	a	b
b	e	e	i	l
l	n	n	o	o
o	o	p	p	r
s	s	s	t	t

Znaczenie wyrazów: 1. Pierwiastek chemiczny. 2. Miasto nad Odrą. 3. Inaczej sakwa. 4. Imię męskie. 5. Inaczej żebranie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy pół klg. herbatników z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadki z Nru 35.

Szarada.

Salamina.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: »Salamis« Skwarzawa, R. Szkaradek N. Sącz, J. Zajączkowski Jabłonów, M. Rożański Libusza, R. Wiśniewski Kraków, E. Bogdalska Koropiec, F. Kalita Gawłuszowice, Tow. »Jedność« Łazy, K. Galocz Karwin, Z. Furko Kraków, C. Głębocki Kraków, Czytelnia polska Bircza, Cellerin Bukowsko, W. Czerkawski Przeworsk, Kierska Trussawiec, J. Zontek Rybarzowice, E. Kruczyńska Ciechocinek, M. Legotke Ciechocinek, S. Spunda Skała, R. Kroblówna Rozwadów, E. Pohlmannówna Lwów, H Leligdowicz Fraga, K. Bogaszewski Radom, A. Bieńkowski Wiedeń, K. Astman Borysław, A. Bocsoń Bóbrka, M. Arbesbauer Lwów, J. Ostręga Tarnów, H. Mrowcowa Frysztak, Z. Malski Lwów, S. Kozłowska Kalisz, W. Czeppe Tarnobrzeg, A. Miecik Trembowla, M. Petrykowa Kozy, Związek akademicki Kraków, F. Michalski Kraków, K. Fuchs Czeremchów, Urząd pocztowy Krukienice, F. Niepokój Krosno, Rogoyska Brzeźnica, J. Schnitzel Tarnów, A. Knapińska Kraków, F. Inglot Kwaczała, A. Waranka Kocmań, J. Trybon Kraków, B. Jędrzejczyk Zakopane, S. Grzeszczuk Stanisławów, W. Samborski Kraków, J. Bandt Kraków, M. Opolska Czarny Dunajec, H. Kowalski Mogiła, A. Godek Kraków, K. Jabłoński Stanisławów, A. Medoniowa Kraków, E. Pstruszyńska Kraków, K. Jasiński Kraków, A. Miłkowski Bełz, S. Gałdeczka Nard.

Nagrodę — wyjątkowo nie przez losowanie — otrzymała »Salamis« (pseudonim) ze Skwarzawy za trafne i dowcipne rozwiązanie, które poniżej zamieszczamy:

Ach! jak miło krzesać w podkówki ze stali
Obok pięknej panny — w dość obszernej sali;
Zwłaszcza jeśli przedtem — mówiąc między nami —
Danser sobie podje włoskiego salami
I ma dosyć siły, by mis poprowadzić
Na około sali a potem posadzić,
Jak dzielny Rzymianin, co pod Salamina
Nie walczył nogami, lecz tarczą i dzidą.
Posyłam ten wierszyk nie ładny, lecz gładki
Z myślą, że dostanę te słynne pomadki.

Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.



Z półek księgarskich.

Kalendarz Tow. Szkoły Ludowej. W połowie września opuści prasę pierwszy kalendarz, wydany staraniem i nakładem Tow. Szkoły ludowej. Redakcya kalendarza dokłada usilnych starań, żeby stworzyć typ kalendarza wybitnie polskiego, któryby raz na zawsze wyrugował z kraju liche nakłady niemieckie, a zwłaszcza kalendarze Steibrennera, przemycane do naszego kraju całymi tysiącami i bałamucące lud nasz pozorami kalednarzy narodowo-katolickich. Kalendarze te zbyt dobrze są znane inteligentnym kołom naszego społeczeństwa tem bardziej, że w tej sprawie zabrało głos gremium księgarzy lwowskich w broszurze pt. »Jak Niemcy ogłupiają i zatruwają duszę polską«.

Chcąc zapewnić swemu kalendarzowi dostęp i wpływ na jak najszersze warstwy społeczeństwa, zjednała sobie przedewszystkiem redakcya kalendarza współpracownictwo wybitnych sił. W bogatej części literackiej spotykamy nazwiska Wł. Bełzy, T. T. Jeża (Miłkowskiego), Bronisławy Ostrowskiej, Jadwigi Strokowej, Maryli Wolskiej, E. Zechentera i innych; w dziale naukowym i społecznym prace adw. dr. L. Caro, dr. Golińskiego, dr. Kumanieckiego, prof. dr. Kutrzeby, inż. Śmiałowskiego, dr. Surzyckiego i wielu innych.

Ludność włościańska znajdzie w kalendarzu obfity i interesujący materyał, a mianowicie zbiór starych przysłowi gospodarskich i przepowiedni ludowych, poradnik gospodarski na każdy miesiąc roku, oraz osobny kalendarz historyczny. Część literacką kończy bogaato illustrowaoa i interesująca kronika oraz przegląd spraw polskich z r. 1906/7. W cęści informacyjnej zamieszczono obszerny szematyzm krajowy ze szczególnem uwzględniem miast Krakowa i Lwowa. Całość zdobi znaczna ilość interesujęcych illustracyi.

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności.

»KOSMOS«

77—38 znakomite hygieniczne

Tutki do papierosów

poleca fabryka St. Wołoszyńskiego Kraków, Krupnicza 21

Do nabycia we wszystkich trafikach i handlach.

Niema wypadania włosów!

ELLA-środek na porost włosów



jest dziś uznanym za najlepszy środek przeciw łysinie i wypadaniu włosów.

Czyści i odświeża skórę. Na tłuste włosy cena jednej małej flaszki K 3·60, wielka flaszka K 5·—. **Pomada** do suchych włosów, mały słoiczek K 3·60, wielki K 5·—.

BARIN zmienia farbę włosów, brody i wąsów w paru minutach! Nie pozostawia żadnych plam, bo nie jest farbą lecz wyciągiem roślinnym. — **Cena 4 i 6 kor.**

Liczne listy z uznaniem z całego świata!

ELLA-KREM do twarzy

niszczy wszelką nieczystość, czyni skórę miękką i młodą. Cena według wielkości **1, 2, 3 i 6 kor.**

ELLA-MYDŁO K 1·—

ELLA-PUDER do twarzy K 1·—

Wszystko to można dostać u:

BAROS GÁBOR

fabryka kosmetyków i perfumeryi.

Główna sprzedaż i biuro:

Budapeszt Dohány-utcza 1, Depot 48

Telefon 8—72

Fabryka: I. Városmajor-utcza 42 (własny dom), Tel. 45—45. Wysyłka pocztowa 2 razy dziennie za zaliczką lub poprzedniem nadesł. należyt. ści. Cennik ze sposobem użycia darmo i opłatnie.

Najtańszy skład w Krakowie, Grodzka 58



Znakomitej dobroci

Zegarki

i eleganckie wartościowe wyroby

złote i srebrne

poleca najtaniej:

EMIL GOLDWASSER

KRAKÓW

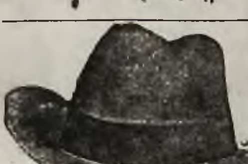
ulica Grodzka L. 58

Ma na składzie

Łyżki, Łyżeczki srebrne

36—47 oraz inne

wyroby z chińsk. srebra



Bieliznę męzką

Kapelusze • Czapki

Płaszcze gumowe!

Obuwie amerykańskie

Kufry i wszelkie przybory do podróży

poleca 27—89

Magazyn konfekcyi męzkiej i fabryka rękawiczek

Braci Bilewskich

Kraków, Floryańska 33 (róg ul. Św. Marka)

FUTRA DAMSKIE MĘSKIE PODRÓŻNE

kołnierze, boa, sarękawki, czapki oraz wszelkie reperacye futer przerabiania na nowe fasony uskutecznia najtaniej

Nowo otworzony Magazyn i pracownia futer

W. Sichler i A. Kuźmiński, Lwów, ul. Sobieskiego 2

DALMIOS

z watą „Salvesol«

Tutki cygaretowe egipskie, ozdobne — dla wybrednych smakoszy.

Palą się równo i lekko, nie czernieją, smak mają łagodny, nie spalają się szybko, wskutek tego dym jest chłodny, co jest wielką zaletą tutek cygaretowych.

Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, winien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „SALVESOL“; pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie.

Oryginalny pakiecik „WATY SALVESOL“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

10 cygarniczek szklanych K 1·20

Pakiecik waty »Salvesol« 30 lub 60 hal.

1000 tutek cygaretow. »Dalmios« K 3·20

Wyroby te poleca:

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych

(1) „NORIS“

Mr W Bełdowski, Kraków

37—51

Kinematograf.



Bardzo interesujące dla dzieci i dorosłych, również do użycia jako „latarnia magiczna“ z 8 kolorowymi obrazami paskowymi (Films) i 6 szklannych obrazów. 8½ cm. szeroki, naftowa lampa, reflektor i kompletne objaśnienia na kartonie K 16·—. Przez ten kinematograf mogą być tak przez młodych jak i starszych mile widziane żywe obrazy przedstawione na ścianie. Mechanizm jest bardzo prosty i pojedynczy, tak że każde dziecko może go bardzo łatwo poznać.

Zamawiać należy wprost

c. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy

w Brüx Nr. 552 (Czechy).

Bogato illust. polskie cenniki kinematografów, latarń magicznych maszyn par mech. zabawek przesyła na żądanie darmo i opłatnie

---

Gumowe specyalności! 85—52 (1907) 1—34 (1908)

Najlepsze francuskie prezerwatywy.

Tuzin najlepszych próbek po K 2·—, 3·—, 4·—, 5·—, 6·—.

4 bardzo interesujące próbki za K 1·— (w markach).

Wszelkie rodzaje artykułów fantazyjnych!

Znakomita nowość: „ARAMIS“ za tuzin K 4·— i 5·—.

Wszelkie gatunki kobiecych prezerwatywów!

Niskie ceny! Illustrowane cenniki darmo.

S. S. Herzog, Wien 17/3, Hernalserstrasse 79 B.

Kobiety! Zatrzymanie menstruacyi leczy: **P. Zierwas, w Kalk** (koło Köln) Nr. 354

Pani G. w M. pisze: »Pański środek szybko pomógł«. (Marka na odpowiedź pożądana).



• Pracownia i magazyn Obuwia •

damskiego i męskiego tylko własnego wyrobu

Jan Szuller, Lwów, ul. Sykstuska L. 29

poleca obuwie gotowe jak również na zamówienia wykonane starannie i szybko według najnowszych fasonów i jestem w możności najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić. Z prowincyi zużyty bucik na miarę. 18—52 1—17 (908)

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516



Kraków Hotel Saski Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

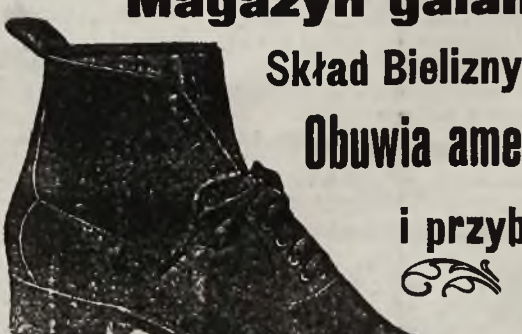


Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Pierwsza galic. Fabryka wyrobów z Marmuru

B. KROLIK, we Lwowie, ul. Janowska 24

(ulica Szwedzka L. 3, dom własny, naprzeciw kościoła św. Anny)

Poleca Płyty z marmuru do mebli i celów budowlanych po cenach bardzo przystępnych.

IGNACY SOBOLEWSKI

w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

Magazyn towarów bławatnych i gotowej Konfekcyi damskiej.

Towar doborowy 25—59 Ceny umiarkowane

Uwaga: Magazyn w niedziele i święta zamknięty.

Hotel Victoria

Telefon 780 Kraków, ulica Zwierzyniecka 6. Telefon 780

piękne położenie, obok plantacyj, centrum miasta, 2 minuty od rynku, stacya tramwaju elektrycznego, nowo odrestaurowany i powiększony poleca pokoje umeblowane od K 1·— za dobę wraz z obsługą. Nowo otworzona **Restauracya i Kawiarnia.** — Posłaniec hotelowy do każdego pociągu. — **Łazienki** w

Hotelu Victoria

Za 10 koron miesięcznie, dostarcza w abonamencie **Ubrania męskie** według systemu angielskiego na miarę specyalnie robione **M. Marek** **LWÓW, Sykstuska 23.** Prospekty na żądanie gratis i franko. Przy zamówieniu prospektu proszę o dokładne podanie adresu i stanowiska.

I-szy Lwowski zakład reperacyi, przerabiania, czyszczenia i prasowania wszelkiej odzieży **Jan Sozański** kantor zamówień: **Lwów, pl. Wekslarski 3** Przyjmuje po bardzo niskich cenach wszelką zniszczoną odzież do gruntownej reparacyi

---

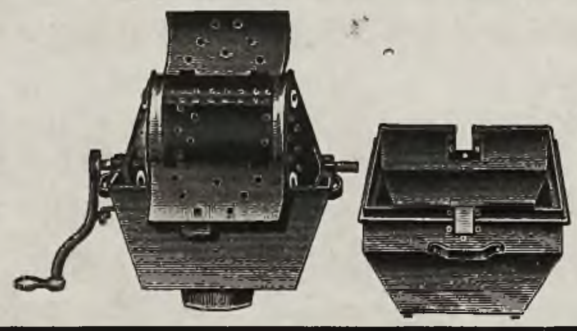
Magazyn i Pracownia futer STANISŁAW STĘPKOWICZ we Lwowie, ul. Sobieskiego L. 9. Obok sklepu p. Sedlaka. (38—39) Poleca futra męskie i damskie, paletociki, wierzchy z baranków perskich, astrachanów, selskinów, pelerynki, kołnierze, boa, zarękawki, czapki damskie i męskie. Ceny niskie.

Kraków **W. HALSKI** Sukiennice

Największy

skład Pralni pełną parą.

Przy odpowiedniej gwarancyi.



29—34

Także na raty!

„Johna“ magle pokojowe,

Wyżymaczki ameryk.

Cennik oryginalny fabryczny na żądanie.

SKRZYPCE

DLA UCZNIÓW

wraz ze

smyczkiem i pudełkiem kompletne K 12·—



Skrzypce te prawdziwie czeskie, cieszące się sławą z powodu bardzo dobrej jakości, dostarcza się wraz z odpowiednim smyczkiem, futerałem drewnian., kalafonią, strunami rezerwowymi, podstawką i gwizdkiem głosowym po cenach następujących:

Nr. 124 Dobrze grające skrzypce, kompletne, jak wyż. opisane K 12
„ 126 Lepsze skrzypce, z silnym dźwiękiem, kompletne . „ 14
„ 128 „ „ eleg. lakier. z garnitur. heban. kompl. „ 16.
„ 130 Najstaranniej wykonane skrzypce, silnie i pełnodźwięczące, z garniturem hebanowym, kompletne . . „ 20

Zestawienia takie nadają się szczególnie na podarki dla początkujących i uczniów. — Opakowanie w drewnianej skrzynce 70 hal. Nieodpowiadające przyjmuje się chętnie napowrót, lub wymienia się takowe.

HANNS KONRAD, Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych

w Brüx, Nr. 547 (Czechy) 37—51

Bogato ilustr. polski cennik z przeszło 3000 rycin, darmo i opłatnie.

Najlepsze budziki Zarejestrowana marka.

Do nabycia tylko w mojej firmie.

3-letnia pisemna gwarancya!



Jeżeli się nie spodoba, zwracam pieniądze

Z 1 dzwonkiem, stalową kotwicą i zatrzymywaczem K 3·80, ze świecącą w nocy tarczą K 4·20, z 2 dzwonkami, stalową kotwicą i zatrzymywaczem K 4·40, ze świecącą w nocy tarczą K 4·80. konkurencyjny budzik K 2·90, ze świecącą w nocy tarczą K 3·30.

3-letnia pisemna gwaraucya.

Jeżeli się nie spodoba, zwracam pieniądze.

Wysyłka za zaliczką

HANNS KONRAD, c. i k. nadw. dostawca

Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 553.

Proszę żądać mego 3000 rycin za ierającego głównego cennika darmo i opłatnie. 37—51

Zmiana lokalu

Mój **zakład pilnikarski,** istniejący lat 8 w Krakowie, przy pl. Matejki l. 4, przeniosłem do domu własnego

l. 35 w Grzegórzkach

przy ulicy Woźniakowskiego

gdzie oczekuję łaskawych zleceń Szan. P. T. Publiczności

28—37 Z szacunkiem **Jan Sądel.**

Fajki z drzewa Bruyèra,



Przyjemne i suche palenie, przeto w czystości i smaku nieprześcigniona.

przedni fabrykat z prawdziwego niezniszczalnego drzewa Bruyèra.

Gładka główka z wygiętym odlew. z Bruyera cybuch wiśniowy z ustnikiem z rogu i rurką z jedwabiu, około 21 cm. długa K. 1·50. Ta sama fajka, jednak z rzeźbioną naokoło główką z drzewa Bruyera K. 1.60. Największy wybór przyrządów dla palących znaleźć można w mym katalogu, który wysyłam darmo i opłatnie. Do nabycia przez

c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 1496 (Czechy).

Proszę we własnym interesie zażądać mego bogato ilustrowanego polskiego katalogu z przeszło 3000 odbitkami darmo i opłatnie. 31—45

Nowość! C. k. Patent. **Nowość!**

Portmonetka-łamigłówka Nr. 7360

Kapitan z Köpenik



Portmonetka -bezpieczeństwa-

może być tylko przez wtajemniczonych otwartą. Sposób użycia dołącza się do każdej sztuki. — Bez niego nikt nie jest w możności otwarcia portmonetki. Okucie jest eleganckie niklowe, zamknięcie bardzo silne, skórka pierwszej jakości, jasnobrązowy safian, silna podszewka skórzana, silne wewnętrzne przedziałki na złoto z osobnem okuciem, 3 przedziały 9½ cm. szerokie, 7½ cm. wysokie, wyrób solidny i trwały.

37—46

Cena, **2 Kor.**

Rozsyłka za zaliczką lub za nadesłaniem poprzednio pieniędzy.

C. k. nadworny dostawca

Hanns Konrad Dom wysyłkowy **w Brüx,** Nr. 1549 (Czechy).

Główny katalog z 3000 rycin. w języku polskim. na żądanie darmo.

Manicure

uskutecznia **Salon fryzyerski M. Wiśniewskiego,** Kraków, ulica Długa L. 24, nadając palcom i paznogciom piękną formę i ładny wygląd. 37—39

Ludwika Stasiaka

TRZECIE HUMORESKI

Wo wszystkich Księgarniach.



Wspaniała nowość! Prawie za bezcen, bo tylko za kor. 4·60 sprzedajemy śliczny, trwały, znakomicie idący, do prawdziwego złotego łudząco podobny, wspaniale złocony i nadzwyczaj pięknie grawirowany zegarek kieszonkowy Ankier-Remontoir. 36 godzin idący za jednem nakręceniem, z bardzo **ozdobnym złoconym łańcuszkiem** i z 2-letnią gwarancyą. Każdy zegarek jest zaopatrzony oryg. plombą. Cena tylko kor 4·60, 3 sztuki kor. 12·90. Taki sam niklowy z łańcuszkiem posrebrzanym kor 3·75, 3 sztuki kor. 10·25. Wysyłka za zaliczką. Towar nieodpowiadający przyjmujemy w przeciągu 8 dni napowrót i pieniądze zwracamy franko.

Kapellner i Holzer w Krakowie

ulica Dietlowska 68/5.

Bogato ilustrowane cenniki z przeszło 2000 wzorów, na żądanie darmo i opłatnie.



BUDZIK Z DZWONEM WIEŻOWYM

najlepszej jakości, do naciągania raz, na 30 godzin z donośnym dzwonem, rama okrągła, gładko polirowana, 30 cmt. średnicy, cyferblat ze szkłem, 3 pozłacane bronzowe wagi, 3-letnia pisemna gwarancya.

tylko Kor. 6·60!

Z świecącym w nocy cyferblatem Kor. 7·20.

Niema ryzyka! Dowolna wymiana lub zwrot pieniędzy.

Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez pierwszą fabrykę zegarów

HANNS KONRAD

ces. i król. nadworny dostawca

w Brüx, Nr. 897 (w Czechach).

Bogato ilustrowany polski cennik z przeszło 3000 odbitkami na żądanie darmo i opłatnie.

38—47



Pozwalamy sobie niniejszem zawiadomić uprzejmie P. T. Panie, że oddaliśmy wyłączną sprzedaż naszych paryskich gorsetów na Bukowinę i Galicyę firmie

HERMAN PIESEN

SPECYALISTA GORSETÓW

W KRAKOWIE, UL. GRODZKA 4

i zwracamy zarazem uwagę na znany w całym świecie gorset **„LE NEOS“** i opaskę brzuszną **„LA NÉA“**, wynalezione i patentowane przez sławnego lekarza Dr. Fz. Glénard.

Firma PIESEN jest zawsze w najnowsze modele gorsetów zaopatrzoną

Na życzenie wysyła firma gorsety do wyboru na prowincyę odwrotną pocztą.

Établissements FARCY & OPPENHEIM

Société anonyme Française. Capital 3.500,000 fr.

PARIS



C. P. A LA SIRÈNE PARIS

„LA NÉA“ Nouvelle Ceinture-Sangle pour dames du Docteur Fz. Glénard

„LE NÉOS“ Corset-Sangle du Docteur Fz. Glénard

Nowo otworzony **Magazyn futer** **JULIANA OLEARCZYKA** we Lwowie, ul. Kopernika 5 (dawny lokal Józefa Schustera). 35 37 39 41 Poleca we wszystkich rodzajach **Futra, Garnitury, Czapki, Wierzchy do futer i t. p.**